№ 21. Warszawa, dnia 14 (26) Maja 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

POWIEŚĆ CZESKA Z CZASÓW ODRODZENIA.

I.

POWIEŚĆ NA TLE LUDOWEM.

Skreślił

Wiktor Czajewski.

Jak u innych narodów tak samo i w Czechach powieść dzieli się na dwie wybitne grupy: jedna z nich będzie społeczną druga zaś zajmująca się odtworzeniem przeszłości historycznej. Jak do pierwszej tak do drugiej potrzeba zupełnie innego materyału i innych zasadniczych form, które nie wszystkim talentom są wspólne.

Dlatego też zasadniczo dzielimy całą powieść czeską na dwie wybitne grupy.

Główną cechą każdego społeczeństwa są dwa żywioły: miejski i wiejski.

Otóż i powieść w której są malowane te dwa wybitne elementy jednego narodu, rozdzielimy na dwie klasy, na powieść ludową i mieszczańską. W innem piśmiennictwie podziału tego, możeby niemożna było tak wybitnie zaznaczyć, w czeskiem jednakże jest to konieczne, gdyż społeczeństwo czeskie, które osiadło na wsiach jest już w całem tego słowa znaczeniu społeczeństwem dojrzałem, posiadającem wszelkie dane do dalszego rozwoju.

Jeżeli w Polsce wieś jest reprezentowana jedynie dziś przez szczupłą garstkę większych posiadaczy, którzy swojemi pojęciami podążają za całym naukowym światem, nie stanowiąc ani nie wymagając żadnych odrębnych znamion, to w Czechach ciż sami więksi posiadacze, również nie odznaczają się niczem więcej od polskich, chyba tem, że są przeważnie zniemczeni lub Niemcy.

Wybitną jednak różnicę u nas stanowi wieśniak który jest dopiero materyałem wiele obiecującym, ale dotąd tylko materyałem pod tym względem.

I dlatego jedynie może nie mamy zapełnionego tego działu literatury, tak jak to się dzieje w Czechach a usiłowania nasze w ludowych obrazach i nowellach zdążają tam tylko, gdzieby mógł inteligentny już czytelnik zająć się.

W obrazkach czeskich pisarzy, Tyla, Franciszka Prawdy, Erbena i Erenbergera, znajdują się tylko przedwstępne próby, gdzie głównie morał odgrywał pierwszorzędną rolę. Tyl nawet poszedł już wyżej i kreślił pod wpływem Walter Scotta zupełnie inne obrazki. Nie były to jednak prawdziwe na wskroś czeskie powiastki, które po raz pierwszy wyszły z pod pióra Bożenny Niemcowej. Ona to wytworzyła sobie odrębną obiektywnie wziętą powieść, gdzie za główne tło posłużył jej lud czeski w całej swojej prostocie z właściwem mu realnem pojęciem i rozumowaniem.

To też wpierw, nim rozpatrzymy się w pismach Niemcowej, musimy powiedzieć słów parę odnoszących się do jej domowego życia.

Bożenna Niemcowa z domu Pankal, urodziła się w Wiedniu 1820 roku, a chociaż ojciec jej był Niemcem, to jednak żona jego Teresa z Nowotnych, gorliwa patryotka, potrafiła wlać w córkę te pojęcia, jakie rozpoczęły się budzić podówczas w Czechach. Młoda Bożenna początkowo wszystkie swoje pragnienia zwróciła ku klasztorowi, gdzie postanowiła całe życie przepędzić. Marzenia te jednak wkrótce pierzchły z przed oczu, gdyż już w siedmnastym roku życia, wyszła zamąż za Józefa Niemca urzędnika władz skarbowych, Niemca z rodu, chociaż pojęcia jego o narodowości więcej zlewały się z pojęciami żony Czeszki.

W trzy lata potem w 1840 roku, Bożenna stanęła u celu swoich marzeń: męża jej przenieśli do Pragi, gdzie młoda kobieta miała sposobność zaznajomienia się z Palackim, Riegrem, Erbenem, Tomiczkiem i wielu innymi przewodnikami ruchu narodowego.

Dom jej stał się również punktem zbornym literatów czeskich. Zawiązane podówczas świeżo „Czeskie Besedy” zbliżały wielu czeskich uczonych i literatów ku sobie. Na jednem z takich zebrań poznała Niemcowa cały sztab literacki, wówczas jeszcze niezbyt liczny, a między innymi i Józefa Kajetana Tyla, który po odczytaniu kilku wierszy, pierwszy ocenił talent Bożenny i ułatwił jej oddrukowanie całego tomu poezyi. Pierwszą tę pracę przyjęto z niezwykłym zapałem i odtąd Niemcowa stanęła w szeregu ludzi pracujących nad odrodzeniem czeskiego społeczeństwa. Praca szła dosyć sporo, w roku 1845, po pierwszym tomie lirycznych wierszy ukazały się „Ludowe gawędy” obrazki pełne prawdy i życia, któremi przyczyniała się bardzo do rozbudzenia ducha nieznieniemczałego ludu, z niesłychaną siłą i zapałem rzucającego się do pracy. Nie długo jednak pozostawała Niemcowa w Pradze. Czujny podówczas rząd usunął jej męża i przeniósł na inny etat, aż nad granicę Bawaryi do Domazlic, gdzie też i Niemcowa udać się musiała. Zasiane jednak w Pradze ziarnko i tu nie uwiędło.

Niemcowa coraz więcej poczęła wnikać w życie swych sąsiadów i wkrótce biedna literatura czeska wzbogaciła się nową pracą młodej autorki. Były to „Domażlickie obrazy” w których ostrą satyrą zganiła liche, wbrew zasadom i wymaganiom ojczyzny, postępowanie mieszkańców tych okolic.

Niepodobało się to mieszkańcom, którzy w okropny sposób zemścili się nad młodą, pełną energii kobietą wyprawiając jej kocią muzykę. Niedłu-

go jednak, bo zaledwie w dwa lata potem w 1848 roku, wskutek wypadków politycznych, myśli i usiłowania Niemcowej, nawet i owe płoche okolice Domażlickie, zrozumiały i oceniły, odpłacając jej czcią i szacunkiem.

Poczucie własnej winy, zmywa niejako jej połowę.

Toż samo stało się i z obywatelami damażlickiemi, których chcąc teraz zrehabilitować Bożenna, skreśliła jeden z najwydatniejszych i najpiękniejszych obrazków „Pohorska westnica", gdzie znowu też strony przedstawione zostały.

W miarę jednak, jak wzrastała sława Niemcowej, upadało jej zdrowie. Już w 1851 roku wyprawiono ją do wód na Węgry, dla podratowania sił nadwątlonych. Zaledwie jednak powróciła do domu, drugi boleśniejszy cios jeszcze spadł na nią. Mąż jej dostał dymisyę. Widząc się zmuszoną pracować na własne utrzymanie, zajmuje miejsce jako dozorczyni w szpitalu obłąkanych. Krótko jednak tu przemieszkiwała, gdyż nadwątlone jej zdrowie nie pozwalało na dalsze zajmowanie się temi obowiązkami. Jednakże pomimo tych przeciwności duch Bożenny nie złamał się. W czasie tych najgorszych walk i zapasów z nędzą i niedostatkiem duch jej jeszcze wyżej się podniósł a twórczość niezmiernie spotężniała. W tych bowiem czasach najlepszą swą powieść p. t. „Babiczka" (Babunia) (*) napisała, jak sama się wyraziła „dla ulgi w cierpieniach skołatanej duszy. Postacie też występujące w „Babuni", toć to drogie jej sercu i blizkie powinowactwem, rodzina babuni, to rodzina Niemcowej.

Matka Bożenny Czeszka rodem, tu jest córką „babuni", ojciec Proszek (Pankal), oficyalistą prywatnym bogatej księżnej w Czechach, choć Niemiec z rodu kocha jednał naród czeski, Barunka, t. j. Basia, ulubiona wnuczka babuni, to niezawodnie sama autorka. W drugim roku życia przenosi się ona z rodzicami z Wiednia do Czech, gdzie całe swe wychowanie odbiera.

Wogóle wszystko co kreśli Niemcowa jest prawdziwe, bo nie tworzy wyobraźnią, ale spisuje to, co dobrze jej znane lub czego sama doświadczyła. Do takich utworów należy „Pan Nauczyciel" (**) nowella, wreszcie dosyć w czytaniu nudna, jednakże nie bez talentu nakreślona, zawiera epizod z życia samej autorki, która wystawia w niej wzór uczciwego czeskiego nauczyciela i jego żony.

Jeżeli „Pan Nauczyciel" obejmuje całe życie Bożenny po za domem i wprowadza a raczej wtajemnicza w jej rozwój duchowy, to „Babunia" jest świadectwem domowego wychowania.

Proste obrazki, w których tak barwnie przedstawiła swoją babkę, najlepiej nam wyjaśniają, jak szlachetnie autorka zapatrywała się na stan wieśniaczy. Urodzona w wiejskiej chacie nie ma sobie za ubliżenie opowiadać z całą prawdą historyę swego domu.

Sama babunia to postać najwybitniejsza tej opowieści, chociaż nie podrzędną tu rolę odgrywa księżna u której Proszek t. j. Pankala, ojciec Bożenny był oficyalistą, i jej wychowanka Hortensya, tęskniąca za swoją ojczyzną.

Piękna jest opowieść strzelca o obłąkanej Wiktorce i czarnym żołnierzu, tylko że obłąkanie nie jest oryginalnym pomysłem Bożenny. Wiktorka z kwiatkami w ręku, czy to w polu, czy przy łożu śmiertelnem swojego ojca, jest rzewną i piękną, ale żywcem przypomina obłąkanie Ofelii Szekspira. Inne też sceny kopiowane na wzór „Hermana i Dorotey" Göthego.

Mimo tego, opowiadania Bożenny posiadają wiele chwil, wiele momentów prawdziwie uczuciowych i głęboko rzewnych, które zdobywają największe sympatye dla autorki.

Nie długo jednak potem cieszył się ogół czeski autorką „Babuni".

Po powrocie z Węgrzech, gdzie w 1855 roku bawiła między Słowakami, robiąc studya nad tym ludem z niechęcią patrzący na to rząd ówczesny, znaglił autorkę do natychmiastowego opuszczenia pobratymczej krainy, upatrując w Bożennie jakąś niebezpieczną burzycielkę.

Po powrocie z tej nieudatnej wycieczki wydała jeszcze „Slavenskie pohadki a pavidki" i potem wkrótce po długiej a ciężkiej chorobie zmarła w Pradze dnia 22 stycznia 1862 roku. Pogrzeb jej był narodową manifestacyą, tysiące ludu szły za jej trumną, tysiące ludu z żalem spuściło jej zwłoki do grobu.

Była to pierwsza w Czechach kobieta literatka.

Widzimy więc, że powieść czeska oddawna już rozwijała się na tle ludowem. Początki, jakie znalazła w pismach Bożenny Niemcowej, utrwaliły się bardzo szybko, i potęgowały się, i wywołały bardzo gorliwych naśladowców. Między tymi najwybitniejsze miejsce nie tylko w powieści ludowej, ale w ogólności w beletrystycznej literaturze czeskiej, zajęła Karolina Swetla, posiadająca wybitny talent z realnym kierunkiem. Z jej powieści lepszych są: „Niepobożny", „Krzyż u Potoku", „Kartka z rodzinnej kroniki", „Córka kamieniarza" i wiele innych. Swietla urodziła się w 1830 roku.

W 1858 r. ukazała się pierwsza jej praca w Almanachu „Maj". Odtąd też nieustanie pracuje dla współrodaków. Prace jej przeważnie ludowe mają ogromną wartość, nietylko jako udatne powieści i opowiadania, ale nawet jako materyał etnograficzny. Rzeczywiście Swietla zna swój lud i przedstawia go w tem świetle w jakiem u nas pisał o nim J. K. Gregorowicz.

Wyborne obrazki ludowe kreśli także Wacław Szmilowski, właściwie Szmilanek, urodzony 1837 roku w Mlade Boleslawi, okręgowy szkolny inspektor w Litomyszlu. Romanse jego: „Kmotr rozumec", „Kruparz Kleofas", „Stary varhanik", „Starohorski filosof" i „Martin Oliwa", zajmują przedewszystkiem swemi typami czytelnika.

Rzeczywiście Szmilowski jest artysta rzeźbiarz, który z każdego materyału, potrafi wykuć lub ulepić postać najwięcej mu potrzebną, tak dalece, że trudnoby wykazać, która z nich jest lepszą lub gorszą. Owszem wszystkie, co do najsłabszej, bardzo zajmujące i interesujące. Do lepszych jednak utworów tego pisarza zaliczymy „Parnassie" odrukowaną poraz pierwszy w „Osviete" 1874 roku. Kto hołduje ideałom piękna, kogo zachwyca wszystko to co dobre i wspaniałomyślne, powabne i wzniosłe, ten niech odczyta Parnassę. Na wskroś samoistny, co do kompozycyi, w wewnętrznej formie swych literackich prac jest prawdziwie czeskim, do najdrobniejszej myśli i poglądu. Znający literatury obce, najlepiej oceni, że nic z nich tu się nie przedostało.

(D. n.)

(*) „Babiczka" została przełożoną na język polski przez Jakóba S. Przekład ten zamieszczony jest w „Przeglądzie europejskim" wychodzącym w Warszawie pod redakcyą J. I. Kraszewskiego. Patrz T. I i II z 1862 roku str. 112.

(**) „Pan Nauczyciel" przetłomaczony na polski język przez Zenona Przesmyckiego (patrz „Tygodnik Mód" Nr. 18 z 1882 roku, str. 207).

NIEINACZEJ.

Gdy się wzbijesz po nad tłumem,
Gdy już w całej, wzniosłej treści
Wielki, święty cel niewieści
Pojmiesz sercem i rozumem, —
Gdy po szczęsnych dni pogrzebie,
Myśląc nieraz o przeszłości,
Nie zagrzebiesz ducha w czczości,
Wtedy rzeknę: kocham ciebie!

Gdy myśl każdą, co w tej dobie
Hańbi prawych ojców dzieci,
Co jak błędny ognik świeci
U stóp krzyża na ich grobie,
By nie skarlić również siebie
Precz odrzucisz, zetrzesz z czoła —
Choć cię wsteczną gmin obwoła...
Wtedy rzeknę: kocham ciebie!

Gdy w najmniejszej twojej chęci,
W najdrobniejszym twoim czynie,
Który, zda się, marnie zginie,
Wyjdzie na jaw ślad pamięci
O rodzimej serc potrzebie,
O tem jutrze, co nas boli,
O tem ziarnie śpiącem w roli, —
Wtedy rzeknę: kocham ciebie!

Gdy i oczu twych połyski,
Gdy i świeżość twego lica,
Co bezmyślnych zmysł zachwyca,
Dając chrzest ci odaliski —
Natchniesz duchem z głębi siebie,
Jak mistrz rzeźbiąc ból z kamienia
Na grobowiec bez imienia...
Wtedy rzeknę: kocham ciebie!

Gdy łza błyśnie w twej źrenicy
I na młodej, tęsknej twarzy,
Tak z uśmiechem się skojarzy,
Jak wśród letniej nawałnicy
Chmura z tęczą na mem niebie,
Wtedy rzeknę: godnaś chwały,
Bo już w tobie kraj mój cały,
Muszę kochać — kocham ciebie!

Lecz jeżeli dni twych biegu
Nigdy smutek nie poplącze,
I przelecą puste, rącze
Od poranku do noclegu, —
Jeśli wielki ból z żałobą,
Nie zawita do twej duszy,
A łzę świętą szał osuszy...
Rzeknę wtedy: gardzę tobą!

Jerzy Laskarys.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Izdebka do której Walenty wprowadził swoich gości, zalecała się szczególną czystością i porządkiem. Nad łóżkiem zasłanem grubą wełnianą kołdrą i poduszką owsianemi plewami wypchaną, zawieszony był Chrystus na krzyżu, Matka Boska Częstochowska i wizerunki kilku świętych szkłami zaopatrzonych. Pod oknem stał stół, dalej kufer, szafa ze sprzętami domowego gospodarstwa a ścianę naprzeciw łoża, przyozdabiał tornister w koło którego mieściły się obrazki litograficzne, przedstawiające księcia Józefa, wskakującego na koniu w rzekę, króla Sobieskiego tratującego Turków i innych znakomitych postaci.

— Otóż i moja kwatera — odezwał się Walenty — ubożuchna ale staremu żołnierzowi niewiele potrzeba. Do puchu nienawykłem, plewy pod głowę i przyjemniejsze i zdrowsze a ława drewniana zawsze lepsza od kamienia lub pnia spróchniałego, jak to nieraz bywało w naszych wojennych pochodach. Siadaj mój Janie, siadaj i ty chłopczyno. W spiżarni mojej szczupło, ale głód wam nie dokuczy. Mam jaja, słoninę, mam spory kawał kiełbasy, znajdzie się miska barszczu, garnczek ziemniaków i kapusty, to i czegóż trzeba?

Jan zabrał się zaraz do pomo y gospodarzowi, połupał drzewka, rozpalił ogień, przystawił garnczki, Walenty co miał w zapasie wydobył ze schowania, czego brakło dostał na plebanii, dość że wkrótce wieczerza była gotowa: jajecznica z kiełbasą pierwsze w niej zajmowała miejsce. Gawęda na chwilę nie ustawała, chłopczyna nasycony usnął zaraz kamieniem, Jan zapalił fajkę i pykając dymem rzekł:

— Przyszedłem tu, mój Walenty do Przetyk, na poradę do naszego pułkownika...

— Już go nie ma w Przetykach — przerwał Walenty.

— Już go nie ma? Czy umarł?

— Ej! żyje Bogu dzięki, ale padły złe lata na urodzaj, biedak nie mógł wytrzymać, wyprzedał się i przeniósł do Warszawy.

— A ja tyle drogi przebyłem — zawołał z żalem Jan, tylem się z chłopczyną namordował i wszystko napróżno.

— Czy to o niego ci idzie? — zapytał Walenty spoglądając na śpiącego Józia.

— A o kogóżby? Przecieć sobą nie kłopotałbym mu głowy. Brat mój umierając, życzył sobie żeby księdzem został, aleć to wymaga wielkiego zachodu, a ja nie wiem jak się w tym interesie obracać.

— Powiemy to naszemu proboszczowi, staruszek to sędziwy ale i rozumny i wielkiej poczciwości. Nie kłopocz się Jasiu, nie kłopocz, jutro cię zaraz zaprowadzę do niego.

Jan mając na pamięci prośbę umierającego brata i przestrogę nieznajomego, aby w opowiadaniu szczegółów dotyczących Józia, był bardzo ostrożnym, nie przypuścił do tajemnicy swego starego towarzysza i powiedział mu tylko, że Józio ma wprawdzie ojca, ale ten porzucił i matkę i dziecko i żadnej o sobie nie daje wiadomości. Kimby jednak był ów niedobry ojciec, jaki jego stan i położenie towarzyskie, o tem nie mruknął i słówka. Walenty też burczał na złość ludzką, na twardość serca i poprzestając na tem nie wypytywał się o bliższe szczegóły.

Starzy długo z sobą gawędzili, w wspomnieniach swoich nie pominęli nikogo, odbywali szarże, ataki, armaty grzmiały, bębny huczały, kule syczały jak osy i bąki, wszędzie szli naprzód a gdzie przyszło rejterować, tam zawsze winna była komenda o złą wolę oskarżona.

Na drugi dzień proboszcz kazał Jana przywołać do siebie. Był to już staruszek lepiej od Jana w latach podeszły, ze szczególnie miłym wyrazem twarzy, odrazu obudzającym wszelkie zaufanie. Jan opowiedział mu wszystko nic nie ukrywając, prosząc o radę, aby o ile można mógł wypełnić polecenie brata i chłopca przysposobić do stanu duchownego.

— Oto są dowody jego pochodzenia a to pieniądze zebrane ze sprzedaży chudoby — mówił dalej Jan. Wszystko to zostawię w ręku jegomości i jak z porady wypadnie tak zrobię.

Staruszek długo zamyślony chodził po pokoju, wreszcie oświadczył Janowi, aby o tem co rozmawiali nic nikomu nie mówił, że zrobi wszystko co do niego należy i później powie jak się dalej z chłopcem obracać. Tymczasem radził mu, aby pozostał we wsi, chwycił się pracy przy dworze a Józka obiecał wziąć pod swoją opiekę.

Jan zaczął myszkować za robotą. Do każdej był zręczny, każdej umiał podołać, a w której brakło mu umiejętności tam sprytem sztukował.

We wsi nie było pana, mieszkał gdzieś daleko, ekonom wszystkiem rządził. Była to sztuka przysadkowata i harda jak koń znarowiony. Harapnik na sarniej nóżce zawsze miał przewieszony przez ramię jak wstęgę z honorowym znakiem, pręt w ręku i wąsy spiczasto zadarte. Policzki świeciły mu dobrobytem, oczy pychą a usta gotowością do gniewu i fukania.

Jan odrazu nie przypadł mu do smaku.

— Tym starym gawronom z pod karabina — szeptał w myśli — to zdaje się, że są jaśnie panami. Już ja wam przytrę rogów i nosów nie dam zadzierać.

Po za wsią, w rozdole między wzgórzami, znajdowała się opuszczona cegielnia, a że cegły koniecznie potrzebowano, ekonom więc oświadczył, że wyrób jej chętnie odda Janowi. Z robotą tą mało był oswojony, ale dobrej chęci nigdy mu w niczem nie brakowało. Poszedł więc do drugiej cegielni o kilka mil oddalonej, przypatrzyć się robocie, wypytał, objaśnił i wróciwszy do Przetyk objął w posiadanie fabrykę. Instalowany na głównego fabrykanta, zaraz zabrał się do poprawy budy mieszkalnej, czyli dołu w ziemi wygrzebanego i okrytego dachem słomą pokrytym. Postawił w nim cyganek, w koło dachu podebrał rowek do ścieku wody deszczowej, a przy ścianach wewnątrz usłał posłanie z wisu i słomy.

Józio nie chciał go na krok odstąpić, wszystkie przekładania, tłomaczenia, groźby głodu, napaści dzikich zwierząt, nic nie pomogły, chłopczyna uparł się i postawił na swojem.

Smutne to było życie! Jan po całych dniach kopał glinę, gniótł ją na ciasto i potem wyciskał cegły stawiając rzędami do wyschnięcia. Rano jak tylko się przebudzili, rozniecał ogień, przystawiał garnki ze strawą, Józio pilnował, aby ogień nie przygasł a garnki nie wykipiały. Obejmowały one zwykle barszcz, ziemniaki i kaszę mające służyć na posiłek dnia całego, chleb i ser stanowił drugą połowę dania, ale tych czasem brakło i dlatego gotowane ziemniaki zawsze w garnczku stały, aby w każdym razie byle sięgnąć głód było czem zaspokoić.

W sobotę przybywała nowa praca, pranie bielizny. Umiał się z tem Jan zgrabnie uwijać, a Józek rozwieszonej bielizny pilnować, aby nie spadła i ziemią się nie powalała.

W niedzielę szli oba świeżo ubrani do Przetyk do kościoła: Jan wyręczał Walentego w dzwonieniu a Józek dopomagał ciągnąć za sznury ile sił starczyło. Obiad wtedy jedli na plebanii i po gawędzie z Walentym i nieszporach, wracali do domu dogryźć resztek pozostałych ze śniadania.

Raz, a było to już przed samemi żniwami: Jan za tytoniem, kaszą i solą zmuszony był pójść do poblizkiego miasteczka. Józek pozostał sam, wyczerpał wszystkie zwykłe swoje zabawy, z gliną, z gnieceniem jej i wyciskaniem cegły, potem gonił wrony, spędzał wróble, oglądał się, skrobał po głowie, krzywił się, wyszedł na ścieżynę, którą spodziewał się powrotu dziadka i usiadł na grębce cokolwiek nad płaszczyznę wyniesionej.

Zdala zobaczył kawał pola zasypanego białym kwiatem. Podszedł ku niemu, był to groch już przekwitający. Chłopczyna ujrzawszy strączki, głodny, znudzony samotnością zaczął je zrywać i zajadać, narwał pełne garstki i gdy wytknął znów na drogę i chciał iść dalej, nadjechał ekonom i szkodnika niemiłosiernie wysmagał prętem. Chłopczyna krzyczał w niebogłosy a ekonom bił i powiedział, że zabije jak go jeszcze raz w grochu spotka.

Gdy się operacya skończyła, Józiek wrzeszcząc pobiegł do budy, ale nie było w niej nikogo coby się nad biedakiem użalił, coby go utulił, pocieszył musiał więc sam sobie radzić, ukrył się w posłaniu i schował w niem całą głowę.

Gdy Jan wrócił zastał chłopczynę śpiącego. Przebudził się zaraz, wyciągnął rączęta do dziadka i zaczął płakać strasznie żałośliwie.

— Tak mnie dziaduniu obił — mówił Józio — że mi aż skórę poprzecinał.

— Kto cię obił?

— A juźcić ten pan, co tu często do nas zachodzi z takim długim prętem.

— A i o cóż cię obił?

— Nie wiem dziaduniu. Szedłem drogą i groch jadłem com go narwał na polu.

Jan dorozumiał się reszty, obejrzał znaki obicia, wymruczał przekleństwo, zowiąc ekonoma katem i zalecił chłopczynie bawienie się w pobliżu domu.

— Mój Boże — myślał sobie Jan, wykładając sprawunki przyniesione z miasta — biedny sierota w takiej poniewierce. Lada szuja chce mu przewodzić i podnosi się nad niego jakby co najlepszego. Wara! ci nicponiu, charłaku, wycieruchu dworski!

Stosunki z ekonomem od pierwszej chwili były naprężone. Ekonom nie lubił Walentego za małe okazywanie mu uszanowania i zaraz zaczął z ukosa spoglądać i na Jana jako jego przyjaciela. Walenty uważał się w swej godności daleko wyższym od batożnika, jak go zwykle nazywał, Jan niemniej cenił swoje zasługi, w boju otrzymane i szlachectwo o którem wiedział, że równa go choćby z wielkim panem. Gdy się spotkali, Jan nie czapkował mu nigdy, powitał lekkim ukłonem i szedł dalej nie wdając się w żadną gawędę a ekonom nie oddając nawet ukłonu za ukłon, pokręcał wąsa szepcząc:

— Muszę ja was hardziochy upokorzyć i przycisnąć twardą ręką, bo inaczej wszyscy stracą posłuch i rozejdą się jak świnie po pastwisku. Stary dziad kościelny niech sobie klepie pacierze i ciągnie sznury przy dzwonach, ale ten przybłęda musi ugiąć karku, albo go jak borsuka wykurzę z jamy i popędzę w świat, gdzie pieprz nie rośnie.

Niechęć ta z każdym dniem wzmagając się, przemieniła się wreszcie w skrytą nienawiść. Jan pracował szczerze, starał się wyrób jak najlepszym oddawać, nic to jednak nie pomagało, ekonom łajał, gniewał się, nazywał go partaczem jedynie tylko dlatego, że Jan przyjmował te wszystkie łajania z czapką na głowie, z fajką w ustach i ręką niedbale za koszulę założoną.

Złości tej niewinny chłopczyna pierwszy padł ofiarą a Jan zaprzysiągł się, że krzywdy nie daruje i zaskarży ekonoma do sądu.

Pogłoska o groźbie wprędce doszła do niego. Dowiedział się o niej zaraz na drugi dzień rano przy objeździe oraczy w polu.

Zapyrzony pobiegł do cegielni. Chłopczyna zdala od grochu stał na tej samej ścieżce na której został wysmagany. Zobaczywszy idącego ekonoma, z przestrachem o ile miał siły ruszył zaraz do odwrotu.

— A tuś mi szkodniku! — wołał ekonom przyspieszając kroku. Jużeś się znowu w groch wybrał, a to czyste utrapienie z tymi przybłędami. Poczekaj, poczekaj, tylko ja cię do swej garści dostanę.

Józio biegł z największym pośpiechem i kiedy już krył się za Jana, ekonom śmignął prętem tuż przy nim. Uderzenie chybiło, Jan zasłonił wnuczka i stając przed napastnikiem zapytał śmiało:

— A pan co dokazuje? Czy mało było panu wczorajszego skatowania niewinnego dzieciucha?

— Ja i ciebie stary przybłędo rozumu nauczę— zawołał ekonom, pieniąc się ze złości i rozwijając bat na ręku zawieszony.

— Mnie, a za co?

— Czapka ze łba! — wołał ekonom i trzasnął z harapnika, tuż przy samej twarzy Jana — bo takie ci sprawię batożenie...

— Sprobój! — odrzekł Jan podnosząc z ziemi kilof żelazny do odbijania gliny. — Sprobój, podnieś rękę...

Ekonom osłupiał na to zuchwalstwo.

— Ah! ty chamie! — wrzasnął z wybuchem — ty mi grozić będziesz i tykać jakby sobie równego.

— A cóżeś to taki za jeden, co się tak wynosisz? — zapytał Jan, trzymając kilof gotowy do uderzenia. — Ja szlachcic od dziada pradziada i stary żołnierz a ty co? Pokurcz dworski, lizi-łapa, fagas najemny. Precz ztąd ty psubracie, nie zachodź tu, nie zachodź! bo ręce mam krzepkie a kilof ostry.

Wściekłość ekonoma nie miała granic. Krzyczał, rzucał się, pienił, na wymyślania równą obelgą odpowiadał, ale zmiarkowawszy, że przeciągnięta zwada do ostateczności, mogłaby źle dla niego się skończyć i zakląwszy się, że starego zuchwalca ubije pod batami, kopnął się do domu.

Jan rzucił kilof, otarł czoło, chłopczyna patrzył na niego z przestrachem a zobaczywszy, że usiadł na przewróconym kuble i z podpartą głową na ręku, zamyślił się, zbliżył się do niego.

— Dziadusiu! — zapytał — o co ten pan tak się złościł?

— O co? A o ten wiatr co lata po świecie.

— Czy to każdy pan taki zły?

— A niech ich tam Bóg sądzi, ale moje dziecko nie ma tu co robić, pójdziemy w świat szukać lepszych ludzi. Tuby przyszło do grubej jakiej awantury, trzeba mu ustąpić. Chodź, zbierzemy swoje manatki, ludzi wszędzie spotkamy.

Przygotowania do podróży nie trwały długo. Jan przywdział płaszcz, zapiął go, zawinięcie zazarzucił na plecy, zapalił fajkę i wziąwszy chłopczynę za rękę powlókł się na plebanią. Proboszcza z Walentym zastał w ogrodzie, przy winnych latoroślach sprzeczających się zawzięcie.

— Niech mi jegomość nie przeszkadza — mówił Walenty — bo ja to lepiej wiem od jegomości.

— Usuń się stary marudu, usuń — mruczał proboszcz — w książce lepszy rozum od twojego.

— Co mi tam taki rozum znaczy, ja się we Francyi dosyć napatrzył jak robią w winnicach.

Proboszcz w tej chwili zobaczył stojącego Jana z chłopczyną i z pakunkiem na plecach.

— A cóżto Janie, w podróż się wybrałeś? — zapytał.

— Ha! Jużcić w podróż — odrzekł Jan — trzeba szukać gdzieindziej chleba, gdy mi go tutaj jeść nie dadzą.

— No, no, a tam co zaszło nowego?

Gdy Jan opowiedział wszystkie powody zajścia z ekonomem i że unikając gorszego nieporozumienia, postanowił porzucić Przetyki, Walenty poruszył głową coś mamrocząc, a Proboszcz spytał gdzie myśli się udać?

— Jeszcze nie wiem, proszę jegomości — odrzekł Jan. Mam tam trochę grosza zarobionego, idąc będę się rozpytywał, to może gdzie przycupnę na dłuższy czas, ale najlepiej radbym się dostać do Warszawy. Może tam napotkam gdzie ojca mego Józka, toć krew nim stopnieje i da mu opiekę jakiej potrzebuje.

— Ej! Bogać ta stopnieje — odezwał się Walenty. — Są góry wiecznym pokryte lodem, dlatego, że szczytami górują nad drugiemi, są i ludzie jak lody co nad drugich hardością się wznoszą. I w górach takich i w ludziach lód lodem pozostanie i nic go nie stopi choćby przy nim ogień rozpalono.

— Cicho dziadu — odezwał się proboszcz — miłosierdzie Boże kruszy serca choćby twarde jak skały. Niech więc idzie kiedy ma takie natchnienie. Ja pisałem po dwa razy do Warszawy i na próżno. Powiedziano, że Długosza co był ożeniony ze Stanisławą Bociażanką nie mogą odnaleść. Może Jan będzie szczęśliwszy, próbować należy, bo szkoda chłopczyny, aby się miał zmarnować.

— A tak, przy mnie musi wyjść na marność— odrzekł Jan. — W Warszawie odnajdę mego półkownika, pokręce się, popytam to w końcu muszę dojść do czegoś. Wszystko co złożyłem u jegomości niech zostanie, jak przyjdzie czas to jegomość tem rozumnie sam rozporządzi...

Starych wojaków smutne było pożegnanie. Patrzyli na siebie długo nie mogąc słowa przemówić.

— Otóż i rozchodzimy się — rzekł Walenty — a każdy z nas idzie w inną stronę na straconą placówkę. Myślałem, że już na jednym zostaniem posterunku, aż na obu z niej zawołają. Inaczej się stało, niechże i tak będzie jak Bóg rozporządził.

Jan nic nie odrzekł, pykał tylko z fajki choć przygaszonej a oczy mu błyszczały jakby się w nich łza kręciła. Józio nie spuszczał z oka Walentego, patrzył i Jan na niego jak się kręcił po izbie, wreszcie wyciągnął rękę i rzekłszy: idź z Bogiem stary kamradzie! chciał się zabrać do odejścia.

— A toć zaczekaj! — fuknął z gniewem Walenty — i cóż ci tak pilno? Przecie cię od siebie nie odganiam. Oto torbeczka z prowiantem, są tam jajka ugotowane, chleb, ser, to w drodze przyda się. Chłopczynie zawieszę ją na plecach niech się przyucza do żołnierskiej służby. Teraz idź z Bogiem mój Janie... ale, ale — i przy tych słowach podsunąwszy się bliżej do Jana dodał cichszym głosem — jak się dowiesz, że Francuzi zaczynają się roić, bież zaraz do mnie, bo milion kroć sto tysięcy jakbyś zapomniał, tobym się wyparł ciebie.

Jan znowu rozpoczął wędrówkę z małym Józkiem. Chłopczyna cieszył się tą zmianą, powiadając, że w cegielni strasznie mu się przykrzyło. Jan namyśliwszy się postanowił bez żadnej mitręgi iść prosto do Waarszawy, zwłaszcza, że miał trochę pieniędzy własnych i całoroczny procent od listów zastawnych, stanowiących fundusz Józia, który mu proboszcz wypłacił gotówką przy pożegnaniu. Przy ówczesnej taniości stanowiło to znaczną kwotę.

Warszawę znał Jan dobrze, zaraz też po przybyciu do niej, Józia i manatki zostawił u stróża w zajeździe przy moście, a sam według adresu wynalazł pułkownika i prosto udał się do niego.

Był to człowiek już niemłody, z białym wąsem, rumianą twarzą a postawą poważną jakby w komendzie przed szeregiem całego pułku. Jan zobaczywszy go wchodzącego, wyprostował się i rzekł:

— Melduję się pułkownikowi, Jan Bociag z czwartego pułku strzelców, z batalionu drugiego, kompanii pierwszej.

— A to ty jesteś — odezwał się pułkownik — o którym mi pisał proboszcz z Przetyk, cóż mi powiesz dobrego?

— Nic dobrego. Bieda mnie przygnała do Warszawy i dlatego najprzód tu się zameldowałem z prośbą o radę.

— I owszem stary mój kamradzie — odrzekł pułkownik — zapewne idzie ci o tego chłopczynę co go Długoszem zowiecie?

— A tak pułkowniku, bo mu się to prawnie należy. Mam dowody, metryki..

— Nie przeczę ich rzetelności — przerwał pułkownik — ale cóż z tego, kiedy familia Długoszów nie przyznaje tego i zaprzecza stanowczo aby małżeństwo istotnie z twoją synowicą było zawarte.

— To kłamstwo pułkowniku! — zawołał energicznie Jan prostując się i rękę przykładając do skroni.

— Być może, że kłamstwo, ale aby dowieść jego trzebaby przeprowadzić bardzo długi i kosztowny proces, a któżby na to łożył?

— To sam pójdę do ojca chłopczyny i powiem mu...

— Nie mieszka w Warszawie — przerwał pułkownik — tylko na wsi, w dobrach bardzo od Warszawy oddalonych. Gdybyś tam poszedł z pewnością nie dopuszczonoby cię do niego i aby uniknąć wszelkiego nawet pozoru, że się poczuwają do jakiego względem niego obowiązku, uznanoby cię za napastnika i jako z takim odpowiednioby postąpiono.

— To byłaby wielka nieuczciwość!

— Zapewne, ale prawo jest bezlitośne, nie zna żadnego miłosierdzia a ulegać mu wszyscy musimy. Byłeś żołnierzem to znasz co karność znaczy...

— Znam pułkowniku.

— Przemocą, awanturowaniem się, nic tu nie zrobi.

— Więc cóż zrobić, kiedy sprawiedliwość taka twarda? — zapytał Jan.

— Moja rada, czekać i być cierpliwym, a może familia upamięta się i zrobi coś dla chłopczyny. Wieleż on może mieć lat?

— Na ósmy mu się już obróciło, czas już wielki, aby się uczył a ja nie mam na to sposobu. Mój brat nieboszczyk przeznaczył go na księdza.

— Wiem o tem, ale to zostawmy samemu chłopcu, gdy wyrośnie.

— Dobrze pułkowniku, a cóż teraz z nim robić?

Pułkownik przeszedł się, podumał i po chwili zapytał:

— Cóż ty myślisz z sobą zrobić?

— Pracować! kupię sobie siekierę, piłę tracką, znajdę jakiego starego kamrada wojskowego, a zarobku nie braknie.

— A czybyś czasem nie przyjął miejsca celnika przy rogatkach warszawskich? Mam znajomość w komorze mógłbym ci odpowiednie miejsce wyrobić.

— I owszem pułkowniku. Umiałem kiedyś nosić karabin, to i szpikulcem celniczym nie pogardzę.

— No to dobrze, zawsze to lepsze bo pensya pewna, a zarobek dziś jest a jutro go nie ma.

— To się wie!

— Zostaniesz więc dozorcą przy celnictwie, wynajmiesz sobie jaką kwaterę, a chłopca posyłać będziesz na naukę do znajomej mi panny Salomei, której powierzamy różne roboty. Zapłatę za to biorę na siebie, a podczas twej służby przy rogatkach chłopiec będzie miał opiekę i naukę, a jeżeli inaczej nie da się zrobić, odda go się do terminu. Cóż, dobrze stary wiarusie?

— Według rozkazu! — odrzekł Jan tonem żołnierskiej służby.

— To ruszaj na swoje stanowisko, pannę Salomeję wyszukaj, ale zdala od niej stary wyjadaczu — dodał pułkownik żartobliwie — bo harda i mogłaby ci przyciąć wąsa.

— Ej, panie pułkowniku, nie lękałem się kuli— odrzekł Jan z uśmiechem — to się i panny nie zlęknę.

— No to pamiętaj, powiedz jej o mojej dyspozycyi i za trzy dni zgłoś się do mnie po dalsze rozkazy.

— Dobrze mój pułkowniku — odrzekł Jan, zrobił lewo w tył, zwrot i wyszedł z przedpokoju zupełnie zadowolony z odbytej rozmowy.

(D. c. n.)

WAZON CHIŃSKI.

Przez

Edmunda L.

Przekład

Seweryny Duchińskiej.

Zamiast długich kilkotomowych powieści jakie przed laty dwudziestu zagorzałych liczyły zwolenników, dziś moda zwróciła się do krótkich obrazków, w jednym objętych tomie, a nawet do maleńkich nowelli, zajmujących kilka zaledwie kartek. W szczupłych ramkach biegły malarz więcej stokroć rozwinie talentu, więcej nam wypowie, niż inny na płótnie wielkich rozmiarów. Wśród tych rodzajowych malarzy, pojawił się niedawno Edmunt L. Wiele on podróżował, wiele widział, wiele przestawał z ludźmi, bo głęboko spojrzał w ich serca. Powiastki jego pełne fantazyi, wyszły niedawno z druku, wybieramy z nich jedną, aby dać poznać oryginalny talent autora.

I.

W sali dziadka mego, był wazon chiński, wielki, bardzo wielki, wydęty w pośrodku, pokryty dziwacznem malowidłem szyję miał długą, od góry znacznie rozszerzoną. Próżno wyciągałem ramiona, nie mogłem objąć go do połowy.

Całemi godzinami przyglądałem się tym pysznym Mandarynom, w jaskrawych różnobarwnych szatach, ich towarzyszkom pełnem wdzięku świeżem i powiewnem jak kwiaty. Nieśmiało patrzyłem na żołnierzy z groźną postawą, uzbrojonych w złociste halabardy. Większą jeszcze trwogę budziły we mnie straszne smoki z paszczą rozwartą, z długim ogonem wijącym się w pierścienie. Trzeba było wielkiej odwagi, aby dotknąć palcem ich żółtych ostro-spiczastych zębów.

Na tarasie z trzciny bambusowej bawiło się dwoje wesołych dzieci. Zaprzyjaźniłem się z niemi. Skulony przed wazonem, opowiadałem im długie jakieś historye, słuchały mnie z wielką cierpliwością. Wdzięczny im byłem za to.

Ale prawdziwym ideałem moim, była prześliczna Teha-Teha, tak nazwałem młodą chinkę namalowaną na wazonie. Była to przyjaciółka moja, wierna powiernica mych dziecinnych tajemnic.

Nie wyobrazicie sobie, jak Teha-Teha była piękną. Cera jej biała jak śnieg, cudnie odbijała od purpurowej sukni, stojącego przy niej starego Mandaryna.

Teha-Teha ani spojrzała na niego, choć to był pan bogaty, cały okryty złotem. Oczy jej zawsze zwrócone były ku mnie. Odbiegałem nieraz, aby podchwycić ją na zdradzie, czasami nawet zwracałem hołdy moje, do jej chudej wystrojonej sąsiadki. Nigdy przecież w oku jej, nie dostrzegłem zawiści ani gniewu.

Tyś sama jedna dobra Teha-Teha, pozostała mi wierną! Tyś nigdy nie zmieniła się dla mnie. Ty i dziś słuchasz mnie jak dawniej, z łagodnym na ustach uśmiechem. Nigdy błyszczący od złota Mandaryn, nie odbierze mi serca twego.

Tyś zimna, ale dobra: uczucie twoje, istny marmur z Carrary, chłodne lecz wiekuiste.

Z głębi duszy dziękuję ci, błogosławię cię Teha-Teho! Jeśli obojętnie słuchasz moich bolesnych wyznań, jeśli łza nie wytryśnie na porcelanowe twe jagody, gdy ci powierzam rozpaczliwe skargi i nędze moje, nigdy mnie za to nie łajesz; nigdy mi nie wyrzucasz zdrady, ani ucieczki, długiego zapomnienia ni popełnionych szaleństw.

Teha-Teha miała sukienkę błękitną na żółtej i naszyjnik złoty misternie wyrzeźbiony. Włosy jej zczesane wysoko, tworzyły koronę ponad czołem. Siedziała na wysokiem krześle z kółkami. Jedną ręką trzymała wachlarz, drugą wdzięcznie podpierała główkę. Usteczka jej drobne, oczy długie i powłóczyste, pełne słodyczy i dobroci.

Kochałem Teha-Tehę, nie mówiąc o tem nikomu. Ani ojciec, ani matka, nie zgadywali uczuć moich, myślę jednak, że młodsza siostrzyczka odkryła w części tajemnicę.

Do uczucia mego łączyła się niesłychana ciekawość.

Szyja wazonu otoczona splotami powojów i pnących gałązek, wśród których przelatywały różnobarwne ptaszęta, zanadto była wysoka abym mógł jej dosięgnąć, z daleka tylko pieściłem oczy widokiem cudnej roślinności.

— Co mogło być w tym wazonie? — zapytywałem sam siebie bez ustanku — jakaż tajemnica kryła się w jego głębi? Zapewne pełzały tam straszne smoki, z paszczą wiecznie rozwartą.

Dnia jednego będąc sam, przysunąłem krzesło do wazonu. Staję na niem, wspinam się na palce... chwytam oburącz za brzeg, zawieszony w powietrzu, głowę pochylam w otwór.

Wtem słyszę głośny krzyk za sobą. Była to stara piastunka Aneta, schwyciła mnie w objęcia, postawiła na ziemi.

— Cóż to na Boga! chcesz się zabić psotniku... powiem pani... zakaże ci zbliżać się do wazonu.

Rozpłakałem się na głos. Jakto, chcieliżby oderwać mnie od Teha-Tehi?

— No, uspokój się chłopcze, ciągnęła rozczulona Anneta. Już nic nie powiem pani, ale przyrzecz mi, że drugi raz tego nie będzie. Wierz mi, tam w głębi nie znajdziesz nic pięknego: kurz, śmieci i pajęczyna... i nic więcej.

II.

Piętnaście lat ubiegło. Szał młodości pociągnął mnie zdala rodzicielskich progów. Obiegłem nie mały kęs świata. Kochałem wiele, cierpiałem jeszcze więcej, nakoniec dnia jednego syn marnotrawny zakołatał we drzwi starego domu.

Otworzono mu, wszedł z głową smutno pochyloną. Siwa matka, cofnęła się z razu, nie śmiejąc ust położyć na bladem czole przedwcześnie postarzałemu. Siostra wyciągnęła ku bratu obie ręce. Nie było już dziadka, ani ojca, obaj leżeli w grobie pod kościołem.

Syn marnotrawny, przestąpił próg wielkiej sali: większą wydała się niż dawniej... pusto w niej było.

Powiódł do koła błędnym wzrokiem, spostrzegł na ziemi wazon chiński... Teha-Teha patrzała nań jak przed laty.

Jęknął syn marnotrawny, upadł na kolana przed towarzyszką lat dziecinnych, przycisnął usta do chłodnego jej czoła. „O! Teha-Teho! zawołał, jakżem ja nieszczęśliwy! Ileż mam ci powierzyć trosk i cierpień, gdybyś ty wiedziała com ja tam przetrwał, ile mi krzywd zrządzono. Czemuż cię opuściłem? Teha-Teho, jam stargany życiem, serce moje na kęsy poszarpane!

„Dziś klęcząc przemawiam do ciebie, dawniej wspinałem się na palce by szepnąć coś do ucha twego.

„Wszystko dziś inaczej! inaczej!

„Kochałem inne, jak ciebie niegdyś ukochałem, z głębi szczerego serca.

„One zdradzały mnie, porzucały, szydziły ze mnie. Im potrzeba było czczych tylko hołdów, chwilowych tylko wrażeń, a ja całą oddawałem im duszę. One płaciły zdawkową monetę za szczere złoto uczuć moich, czyniły istnie jak artysta, co porzuca skrzypce, gdy melodyjne wydobył już z nich dźwięki.

„Teha-Teho droga! wszystko skończone! powracam dziś do ciebie, będę gwarzył jak dawniej, już nie o słodkim *jutrze* lecz o *wczora*, pełnem boleści i zawodów!

I syn marnotrawny, wspomniał nagle słowa dobrej piastunki: „Nie patrz w głąb' wielkiego wazonu, nie masz tam nic pięknego".

Dziś głowa jego wybiegła w górę po nad otwór. Pochylił się... patrzy... I cóż on tam zobaczył?

Na dnie tarzała się garstka suchych liści i trupy kwiatów pogrzebane w prochu i pajęczynie. Zabłąkana muszka rozbijała się z brzękiem o ściany głębokiego wazonu.

Podniósł oczy, a oto wśród powojów i pnących roślin, wśród fantastycznych ptaków ulatujących po nad tarasem, wśród żołnierzy, mandarynów, smoków i chińskich niewiast, przesuwały się przed nim widma zmarłych jego ułud i nadziei.

Zrozumiał czem było jego życie, żałował zgasłej wiary, płakał nad skarbem zmarnotrawionych uczuć. Widział jak odbiegały złote sny lat dziecięcych, istny rój kwiatów i motyli opromienionych zorzą.

Słyszał z daleka echo swych dziecinnych szczebiotów i piosnek wyśpiewanych dla czarodziejki w błękitnej i żółtej sukience.

I wielki wazon chiński słuchał żałosnych wyznań syna marnotrawnego.

Kiedy matka z siostrą powróciły do sali, on siedział przy kominie, blade miał lica, rumiane od łez oczy. Ale odzyskał dawny spokój.

Odtąd syn marnotrawny, nie opuszcza domowych progów. Co dnia rozmawia z Teha-Tehą. Ona szepcze mu, aby pojął młodą małżonkę. Czy posłucha jej? Któż odgadnie?

POGADANKA.

W Paryżu wchodzą w używanie „księżycochrony".

Inicyatorowie tej mody twierdzą, że wpływ księżyca niemniej jest dla płci pięknej szkodliwy i niebezpieczny, jak wpływ słońca.

Słońce skórę opala, księżyc wysusza ją i sprowadza bladość. Dłuższe działanie księżyca wywołuje lunatyzm, ową zagadkową chorobę, która pięknie wygląda w sensacyjnych romansach, lecz na którą by się żadna z pań nie chciała narazić. Proszę sobie tylko wyobrazić podobną scenę zdjętą sytuacyę z natury.

Zakochana jakaś Eleonora ułożyła się do snu, nie zapuściwszy rolet. Śni o swym najdroższym i w marzeniach przebiega najpiękniejsze obrazy. Księżyc, który dotąd przeciągał się za chmurami, ziewnął i leniwo wysuwa się na strop szafirowego nieba. Srebrne jego promienie wpadają przez okno sypialni i mdłem blaskiem otaczają głowę zakochanej. Eleonora drgnęła. Jakaś siła magnetyczna ją pociąga ku oknu. Otwiera je—rzecz dzieje się na pierwszem piętrze — po rynnie dostaje się na dach.

Przechadza się po księżycu i marzy ciągle o kochanku. Wtem słyszy głos.

Wołają ją po imieniu.

Nieszczęśliwa spada na ziemię.

Okrzyk rozpaczy wydobywa się z jej piersi, cały dom zrywa się, każdy spieszy z ratunkiem, wszyscy zaspani, na pół nieprzytomni, nie wiedzą właściwie co robić — jednomyślni są tylko w ziewaniu.

Lecz cóż zrobić z księżycem. Przecież nie można mu zakazać świecić, a trudno w księżycowy wieczór siedzieć w zamkniętym pokoju, przy nieznośnem świetle lampy naftowej. Osobliwie teraz kiedy wiosna nie na żarty się rozwija, kiedy drzewa okryły się zielonością, a i słowiki śpiewają. Woń kwiatów upaja, przy świetle księżyca gasną nawet lampy w ogrodzie Saskim, a nawiasem mówiąc, chude płomyki wstyd robiące sławie gazu. Co prawda, jeden z moich wielce uczonych przyjaciół wytłomaczył mi, że powodem bladości tych świateł są — westchnienia. Wiadomo bowiem, że przy najgorętszych westchnieniach z piersi ludzkiej wydobywa się kwas węglowy, który o ile powstaje z procesu palenia, o tyle zabija każdy płomień. Ergo w ogrodzie Saskim za dużo westchnień, a za mało światła.

Otóż wracając do księżyca i uroku jaki zlewa na ziemię, uznano promienie jego spływające na ziemię za szkodliwe dla zdrowia ludzkiego.

Słoneczne przynoszą mu nowe zasoby, księżycowe je niszczą: słońce choć pali, rozwija najpiękniejsze kwiaty, księżyc je do snu kołysze, a choć bezpośrednio nie tworzy lunatyków, w tym jednak kierunku jest działającym a to dosyć, aby się ze wzgardą od niego odwrócić.

Wymyślono więc księżycowe parasoliki... w Paryżu... nam więc nie pozostaje nic innego, jak tylko pójść za tym przykładem, księżyc wyłajać, i... sprawić piękne księżycochrony z gazy, obrębiane czerwoną wstążką i —

Gdy w pośród cieniu drzew,
Słowiczy słychać śpiew,
Zefirów lekki wiew,
Muska gazowy kwef,
Niejeden miejski lew,
Uczuje w sercu krew —
Westchnienie szle...

Zszedłszy na tony wiosennego romantyzmu, muszę wynurzyć żal do pewnego angielskiego chemika, który zamiast psuć irlandczykom nitroglicerynę, zajmuje się badaniem kwiatów, a właściwie ich słodyczy.

Aż dotąd wolno nam było mówić o motylach, co przelatując z kwiatka na kwiatek wypijają z nich wonne słodycze! Dziś ów nieznośny chemik objaśnił nas, że nie ma znowu czego zazdrościć motylom, bo nektaru tego kwiaty mają bardzo mało. Przytacza jako przykład koniczynę, którą się uważa jako wyborny pokarm dla pszczół. Otóż na *funt cukru* potrzeba wyssać *3,750,000* kieliszków tego kwiatu!

Dziękuję za taką pracę, tożby się odechciało nawet nektaru olimpijskiego—ale cóż teraz poczną romantycy?

Nasz chłopek dawno sobie wytłomaczył znaczenie nie ułudnych nektarów i mówi w bajkach: jedli, pili, aż po brodzie ciekło — a w ustach nic nie zostało, i nieznając ni tokaju, ni małmazyi, rozkoszuje się napitkiem... zwanym dyabelską gorzałką jakby szampan nie z tej samej pochodził fabryki.

Gorzałka jednak jest symbolem pijaństwa, grasującego nietylko u nas, ale i gdzieindziej rozwielmożnionego do rozmiarów przerażających.

Dla ukrócenia go doskonałe rozporządzenie wydała policya w Hoerde w Prusach. Zakazuje ona szynkarzom sprzedawania trunków osobom nie mającym jeszcze lat siedmnastu, młodzieńcom tu nie wolno chodzić po balach publicznych bez towarzystwa osób starszych, a na bale maskowe absolutnie nie. Co do palenia cygar w miejscach publicznych, rozporządzenie to zakazuje również surowo ludziom młodym.

O ile w miastach liczy się na wpływ inteligencyi, o tyle po wsiach powinno się energią, a choćby i surowością zapobiegać złemu. Włościanin pozostawiony sam sobie idzie na manowce, upada i powiększa liczbę emigrantów, których ilość w Ameryce nieustannie wzrasta.

Według najnowszych obliczeń w ciągu ubiegłego roku wyjechało z Królestwa *4,246* osób. W Poznańskiem emigracya liczy się na dziesiątki tysięcy.

Wszystko to idzie za morze, często na straszną nędzę, a w kraju ubywa rąk do pracy, a i za morzem złoto nie rośnie na zagonach i trzeba je koniecznie wydobyć, albo ręką, albo sprytem.

Ciekawą pod tym względem klasyfikacyą nadużyć w operacyach finansowych podaje jedno z pism nowojorskich. Przywłaszczenie miliona lub więcej nazywa się wielkim interesem finansowym, organizacyą porządku społecznego: chwycenie pół miliona jest już tylko interesem finansowym: przy złapaniu mniej aniżeli 200,000, powiadają, że operator cierpiał na rozrzedzenie mózgu: zeskamentowanie 100,000 nazywa się nieszczęściem, lub niedokładnością w rachunkach.

Grzech zaś rozpoczyna się dopiero poniżej 100,000, i wtedy nazywają to kradzieżą, nadużyciem zaufania, oszukaństwem i nieuczciwością. Poniżej 10,000 zaczyna się zbrodnia, przywłaszczenie sobie 5,000 jest podłością, a 2,000 prostem złodziejstwem.

Straszna to klasyfikacya a jakże prawdziwa!

A my krzyczymy w niebogłosy, jak kto zemknie za granicę, zabrawszy kilkanaście tysięcy rubli. Jakże jesteśmy niewyrozumieli.

Niemieckie przysłowie powiada, że wielkich złodziei puszcza się wolno — małych wiesza.

Do jakiej kategoryi zaliczyćby należało tych, którzy rabują cześć i sławę? Jaką karę dla tych piratów powinno wyznaczyć społeczeństwo?

Ogień, ani woda, tych skarbów ludzkich nie ruszy, a przyjdzie zły człowiek i zabierze je, zniszczy — a sam nie odniesie najmniejszej korzyści.

Prawdę powiedział Brodziński:

Jak węgla czarnej duszy strzeż się w każdej doli;
Sparzy cię gdy gorący — gdy zimny osmoli...

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Leopold Hauser. Monografia miasta Przemyśla. Przemyśl nakładem braci Jeleniów, 1883 r.

(Dalszy ciąg.)

Po objęciu przez Kazimierza Wielkiego Rusi Czerwonej i Przemyśl powrócił do Polski. Nie musiało się jednak zbyt świetnie powodzić miastu zwłaszcza, że w 1327 r. i Tatarzy byli tu władzcami, a za panowania Władysława Jagiełły i Jadwigi, ta ostatnia na prożbę mieszczan, panów i bojarów, jako królowa wydała dnia 18 lutego 1387 r. następujący przywilej: „Zważywszy wierne i wielokrotne usługi i niezmienną stałość w wierności, jaką względem przodków jej, a świeżo względem niej samej, jej wierni i kochani bojarowie, szlachta, klienci, wójt, rajcy, mieszczanie i cała powszechność ziemi przemyskiej okazali, pragnąc otoczyć ich swą łaską, przyrzeka królowa, że ziemi przemyskiej—od korony Królestwa Polskiego nigdy nie odłączy, że jej w ręce jakiego

księcia nie da, ani też starostą księcia, albo kogokolwiek z książęcego rodu tamże nie postawi, ale tylko Polaka lub Rusina z szlacheckiego rodu pochodzącego..."

Przywilej ten dany na prośbę mieszkańców ziemi Przemyskiej, najlepiej przedstawia nam położenie owczesne zamieszkałego tam ludu.

Wprawdzie autor monografii nie wyzyskał dostatecznie tego przywileju, gdyż oprócz ogólnej myśli, wyśmienicie skierowano tu protest przeciwko Władysławowi Opolskiemu, który po śmierci Kazimierza Wielkiego został wielko-rządzcą Rusi.

W trzecim więc okresie Przemyśl zaczął się szybko rozwijać, jako obdarzony przywilejami królewskimi, których podwalinę stanowił przywilej wydany dnia 1-go października 1389 roku przez Władysława Jagełłę.

Rzemiosła, przemysł i handel cisnęły się w mury starego Przemyśla, a napływ germańskiej ludności, powiększył o wiele liczbę mieszkańców, którzy z czasem otrzymali, również jak i inne polskie miasta, prawo magdeburskie.

Nie pozwoliło jednak przemyskie mieszczaństwo rozpanoszyć się germańskiemu żywiołowi o czem najlepiej świadczy postanowienie rajców przemyskich, broniące innym językiem, jak tylko polskim lub łacińskim w cechach i zebraniach, a nawet na sądach czynić zeznania. Przy takim stosunku ludności, przywilejach i nadaniach wzrosł prędko Przemyśl, tak iż XVII wieku można było zaliczyć go do najzamożniejszych miast w królestwie. Gdy przeglądamy, mówi autor monografii, ówczesne inwentarze pozostałości po zmarłych mieszczanach przemyskich, musimy zwrócić uwagę na dobrobyt i zamożność. Prawie po każdym zostaje srebro i kosztowności, naczynia miedziane i cynkowe, a w odzieży nawet zbytek i przepych spostrzedz można. Różnego rodzaju kontusze, żupany, delje, futra i inna odzież z sukna i jedwabiu, jest tam wyszczególniona, a drogocenne pasy są prawie zwyczajną pozostałością, po obywatelu przemyskim. Słowem dobrobyt okazuje się na każdym kroku, a z nim idzie również w parze i oświata mieszczan przemyskich. Dzięki szkole katedralnej panowie rajcy i ławnicy władają dobrze piórem, o czem przekonać się można z podpisów na aktach urzędowych. W spadkach po obywatelach miasta pozostają księgi naukowe, które również znajdujemy w inwentarzu zapisane.

Ważną rolę w dziejach Przemyśla, odegrał kościół.

Początkowo wystąpił on, w roli nauczyciela i krzewiciela oświaty i moralności.

Odnosi się to przedewszystkiem do pierwszych chwil wprowadzonego tu rzymskiego kościoła.

Zaraz po zajęciu Rusi przez Kazimierza Wielkiego, biskup lubiązki mianuje w roku 1340 biskupa rzymskiego dla Rusi, a przedewszystkiem dla Przemyśla. Biskupem tym pozostał niejaki Iwan, którego chociaż papież potwierdził, jednak, ani on, ani naznaczony wkrótce po jego śmierci dominikanin sędomierski Mikołaj, Rusinem zwany, nie mieszkali w tych stronach. Dopiero Grzegorz XI ustanawia tu oddzielne arcy-biskupstwo katolickie dla Rusi w Haliczu — wraz z trzema biskupstwami w Włodzimierzu, Chełmie i Przemyślu.

Biskupem przemyskiem został mianowany w 1377 r. Niemiec, Eryk Winsen, herbu Mora, który przybywszy na miejsce nieznalazł nic, coby mogło świadczyć o istnieniu tu jakiegokolwiekbądź kościoła katolickiego, gdyż nawet kościół parafialny św. Piotra, był użyty na cerkiew syzmatycką. Odbiera więc przedewszystkiem ten kościół i poświęca pod wezwaniem N. P. Maryi i św. Jana Chrzciciela. Odtąd biskupstwo przemyskie rozwija się pomyślnie, a Eryk wszelkich możliwych używa starań, aby zbogacić fundusze swojej dyecezyi.

Tak rozwinęło się szybko świeżo założone biskupstwo przemyskie, które do dziś liczy już sześćdziesięciu dwóch biskupów, aż do ostatniego Łukasza Soleckiego, mianowanego już w 1881 roku.

Póki jednak samo biskupstwo gościło w Przemyślu, póty Przemyślanom nie źle się wiodło. Wkrótce jednak zaczęli tu przybywać zakonnicy i zakonniczki, aż wreszcie namnożyło się wiele kościołów — a mianowicie: kaplica Misionarzy, kościół i klasztor Jezuitów, kościół z klasztorem OO. Karmelitów bosych, kościół z klasztorem Franciszkanów, kościół Dominikanów, kościół ze szpitalem i klasztorem Braci miłosierdzia, Przemyski kościół parafialny świętego Rocha, kościół z klasztorem Reformatów, kościół z klasztorem Benedyktynek.

Wpierw jednak Przemyśl mieścił w swych murach inne jeszcze biskupstwo, a mianowicie: Obrządku greckiego, które istniało aż do stanowczej reformy unii religijnej.

Godność tych władyków wyznania wschodniego piastowało aż 34, z których pierwszy był Antoni Dobrynia Jadrenkowicz (1218—1225) ostatni zaś Grzegorz Hoszowski, herbu Sas (1667—1675 r.). Wyznanie to, miało też bardzo wielu zwolenników skoro ksiądz Dr. Juljan Nikorowicz w swojej pracy nalicza w syzmatyzmie dyecezyalnym przeszło 28 cerkwi.

(*D. n.*)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Komitet lwowski zajmuje się bardzo gorliwie przyszłym obchodem rocznicy zwycięztwa Sobieskiego pod Wiedniem. Książę Adam Sapieha, przewodniczący w komitecie, wniósł na jednem z ostatnich posiedzeń, aby komitet celem podniesienia religijnej doniosłości obchodu, odniósł się do stolicy Apostolskiej, zapraszając ją do udziału w uroczystości, zarówno jak ordynaryaty biskupie obu obrządków, intendenturę protestancką i główne zbory izraelickie, senaty akademickie, zwierzchności wyższych zakładów naukowych, rady powiatowe i miejskie. Uchwalono też w komitecie lwowskim, aby publikacye i akta odnoszące się do jubileuszu Sobieskiego, ogłaszać w języku polskim i ruskim, popierać projekt zakupienia zamku w Żółkwi i założenia tam gimnazyum, wybić medal bronzowy z popiersiem Jana III i odpowiednim napisem; a między wielu innemi dobrze pomyślanemi projektami, zamierza komitet umieścić tablice pamiątkowe we wszystkich miejscowościach, gdzie znajduje się ślad wspomnień o Sobieskim. Tam gdzie gminy nie byłyby w możności poniesienia tego wydatku, komitet pragnie przyjść im w pomoc.

*** Czytamy w „Kijewlaninie". „Sekciarze rosyjscy tak zwani „bezpopowcy" i „filipowcy" bardzo szczegółowo określają rozmaite męki czekające grzeszników.

I tak: skąpców dręczyć będzie straszny mróz; przywiązanych do miłego grosza toczyć robak nienasycony i t. d. Najsroższa jednak kara czeka palaczy tytuniu i zażywających tabakę. Kara ta według sekciarzy ma być następująca.

Wszyscy palacze i tabacznicy oddani będą szatanowi i skazani na wtaczanie wielkiego głazu na wysoką górę. Kara skończy się, gdy już dosięgną wierzchołka góry. Ale trudne to zadanie, gdyż do *tabaczarzy* wydelegowany będzie specyalny dyabeł, z ogromnym rogiem, pełnym tabaki. Kiedy pokutujący już wdrapią się z kamieniem blizko wierzchołka, wówczas dyabeł zawoła: Hej! tabacznicy! zażyjcie trochę tabaki!... I rzucą się do tabaki a kamień stoczy się na dół — i cała praca za nic. I tak trwać będzie przez wieczność całą.

*** Rossa, słynny przywódźca fenianów, ogłasza w nowo-yorskim dzienniku „Tribune" list objaśniający szczegółowo w jaki sposób zamierzał zburzyć Londyn i nawet podaje koszta urzeczywistnienia tego przedsięwzięcia. Podróż z Ameryki do Londynu tysiąca Irlandczyków, pisze Rossa, po sześć funt. szterlingów od osoby, 6,000 f. s. przenocowanie ich przez jedną noc w różnych londyńskich hotelach, po 5 szylingów, czyni 250 f. s., tysiąc pudełek zapałek po 1 fenigu, funt i 10 fenigów. Ucieczka z powrotem do Ameryki po dokonaniu podpalenia, 6,000 f. s., na drobne wydatki podczas podróży dla tysiąca podpalaczy po 5 f. s. dla każdego, 5,000 f. s. Zsumowawszy wszystkie te wydatki, wypada 17,251 f. s. 10 fenigów czyli 85,000 dolarów — wystarczy to by zmusić Anglią do ukorzenia się przed nami i zarazem dopomożemy rodakom naszym do oswobodzenia Irlandyi. A czyliż narodowa liga nie będzie w stanie zebrać takiej summy?"

Złośliwy jakiś dowcipniś, ów publicznie ogłoszony kosztorys poddał surowej krytyce. „Rossa jest marnotrawcą, mówi on, po co przeznacza 250 f. s. na opłacenie mieszkania w hotelach, kiedy podpaliwszy łóżka, wszyscy Irlandczycy będą mogli, korzystając z popłochu spowodowanego pożarem, uciec, nie płacąc za nocleg. Zbytecznym jest także wydatek na zapałki, bo takowych przecie dostarczą właściciele hoteli. Nadto Rossa zapomina, iż nic nie przeszkodzi naszym braciom napełnić kieszenie różnemi kosztownościami zapomnianemi w przestrachu przez hotelowych gości, którzy ratując życie nie będą myśléć o ocaleniu takich bagatelek — tak więc tym sposobem cała operacya zburzenia Londynu nic ligę kosztować nie będzie, a może nawet zapewni jej kasie pewien zysk.

*** Anglicy ozdobieni orderami nie mają zwyczaju ich nosić, chyba tylko udając się do dworu, ztąd zapewnie powstało mniemanie, że orderów nie ma w Anglii, prócz jednego sławnego orderu Podwiązki, którego oznaką jest wstęga niebieska, z dewizą: *Honni soit qui mal y pense.* Przeciwnie jest tam więcej tych oznak honorowych, niż w wielu innych krajach. Otóż prócz wyż wspomnianego, są jeszcze następujące: Order Ostu, wstęga zielona z dewizą: *Nemo me impune lacessit* (Nikt mnie nie dotknie bezkarnie). Order św. Patryka, wstęga jasno-niebieska, dewiza: *Quis separabit?* (Któż nas rozłączy?). Order Łazni, wstęga karmazynowa, z dewizą: *Tria juncta in uno* (Trzy złączone w jedno). Order Gwiazdy Indyjskiej, wstęga jasno-niebieska z białemi prążkami, z dewizą: *Niech światło niebieskie będzie nam przewodnikiem.* Order św. Michała i św. Jerzego, wstęga niebieska z czerwonemi prążkami, dewiza:

Auspicium melioris oevi (Zapewnienie lepszych czasów). Prócz tych starożytnych dekoracyi są jeszcze ordery ustanowione przez królowę Wiktoryą, jako to: Krzyż Wiktoryi, udzielany wojskowym, order cesarstwa Indyjskiego, order Wiktoryi i Alberta, ustanowiony wyłącznie dla kobiet, oraz cesarski korony indyjskiej. Do tych dziesięciu przybył obecnie jedenasty królewski krzyż Czerwony, mający być udzielany wyłącznie kobietom, które pielęgnowały chorych i rannych wojsk lądowych i morskich. Nosić go będzie królowa, żona króla, lub królowa wdowa i może być nadawany księżniczkom rodziny królewskiej. Jest to krzyż pokryty czerwoną emalią ze złotemi prążkami, z napisem *Wiara, nadzieja i miłość*, wstęga niebieska z czerwonym brzegiem. Order ten nosić się ma na lewem ramieniu.

⁂ *Czy warto żyć? szkic moralności pozytywnej p. Hurrel Mallock.* Ocenę tego znakomitego dzieła podaje „Przegląd Katolicki".

„Znakomita to i wymowna refutacya moralności pozytywnej. W ścisłem rozumowaniu, śmiałej polemice i nielitościwem szyderstwie, widać nadzwyczajny talent autora; styl jego jest wzniosły, nie pozbawiony poetyckiego natchnienia, a przytem pełen humoru. Pozytywizm, mówi Hurrel Mullock, odjął życiu wszelką wartość, moralność pozbawił podstawy, a przecież chełpi się, że on tylko wskazuje cel życia i podaje najpraktyczniejsze zasady moralne. Czcze twierdzenie! „Socyologia" pozytywna jest marzeniem, przeciwnem istotnym wymaganiom serca ludzkiego. „Dobrobyt powszechny" pozytywistów, jest zbyt nieokreślony, aby mógł zdeterminować wolę jednostek, utrzymać na wodzy namiętności, natchnąć ducha ofiary. Skutki te wówczas tylko osiągnąć się dadzą, gdy ostateczny koniec człowieka jest czemś pozytywnem, i gdy jednostka może spodziewać się szczęścia w życiu pozagrobowem.

Ilekroć szkoła pozytywna mówi o życiu i siłach w niem działających, stara się zawsze usunąć wpływ religii, której nie uznaje. Religia powinna zniknąć zupełnie... życie bez religii!... łatwo to powiedzieć — lecz by to osiągnąć, nie dość jest piorunować na każde wyznanie wiary i kasować modlitwę. Jest i pozostanie faktem, że religia ogarnia i obejmuje wszystko, czyn, myśl, uczucie." Mullock poddaje krytyce wszystko na czem pozytywiści budują swą teoryę o celu życia, i w gruncie odnajduje wszędzie ideę religijną, stanowiącą jej podporę. Bez tej idei religijnej, miłość będzie tylko zaspokojeniem popędów zmysłowych, życie nicością, przesytem, rozpaczą. Tym sposobem traci pozytywizm zasadę, przez którą usiłował zastąpić pierwiastek religijny — zatem system jego jest czczą marą, ideał szczęścia dziecinną mrzonką. Nie umieją powiedzieć na czem zasadza się owo szczęście o którem ustawicznie prawią; nie warto było szydzić z nieba chrześciańskiego, jeżli w zamian za nie podają tak śmieszną zasadę; mamy żyć w tem przekonaniu, że przyłożymy się do szczęścia tych co po nas żyć będą, lubo oni nie przyznają nam tej zasługi, uważając życie za konieczny rozwój natury." Czy wieki średnie widziały podobną niedorzeczność? Pozytywizm powołuje się na wiedzę, lecz wiedza potępia go, wykazując mu oczywistą sprzeczność zasad.

Przy końcu dzieła poddane są krytyce wszystkie zarzuty pozytywizmu przeciw teizmowi i religii objawionej. Mullock, który jest racyonalistą, uznaje jedno tylko objawienie — religię katolicką. Myśl ta rozwinięta jest szeroko, z wielką siłą i oryginalnością. Książka ta, pomijając małe usterki, napisana jest z wielką siłą rozumowań, dowcipu i werwy.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Czardasowi. Wierszyk p. t. w Jesieni ładnie skreślony, ale w ostatniej strofce myśl za drażliwa.

Pani Maryi No. w Kuszlejkowicach. Tygodnik jak najregularniej tak samo jak i Przyjaciel dzieci jest w każdą sobotę na pocztę ekspedyowany. Adres został poprawiony, numer 15 jest zupełnie wyczerpany.

Panu Dr. Krz. w Białopolu. Numer 16 przesłano.

Zawiadomienia.

Pragnąc coraz więcej rozwijać działalność opartą na zdobytem już zaufaniu Prenumeratorek Tygodnika Mód i Powieści, Redakcya ma zaszczyt podać do ogólnej wiadomości, że pod swym nadzorem urządziła pracownię wszelkich **ubrań i strojów damskich** nie wyłączając bielizny i oddawszy ją pod główny kierunek osoby należycie uzdolnionej, przyjmuje wszelkie obstalunki tak z materyałów jej powierzonych jak i z własnych, wykonywa je według najświeższych wzorów paryzkich, poręczając za staranne wykończenie i uczciwy stosunek z interesantkami.

Adres: **Do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści oraz Przyjaciela Dzieci — Widok Nr 3.**

Polki wyjeżdżające do Paryża, celem wykształcenia się w obranych przez siebie zawodach, mogą znaleźć u jednej z rodzin polskich w tem mieście mieszkanie ze stołem, usługą i prawdziwie rodzicielską opiekę. Bliższą wiadomość o warunkach nader przystępnych, można powziąć w Warszawie w Redakcyi Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci Widok Nr 3.

Roboty te ogłaszających się osób przedstawione były w Redakcyi i są tak ładnie, starannie i umiejętnie wykonane, że do życzenia nic nie pozostawiają, widok Wilanowa uskuteczniony czarnym haftem na tle jasnem jest rodzajem arcydzieła w swoim rodzaju, który w oprawie, każdego salonu ozdobę stanowić może.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 11 Мая 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

— Wychodząc z kaplicy, Rajmunda powiedziała głośno:

— Kaplica tylko lepiej się zachowała.

Młody człowiek zarumienił się i odrzekł z pewnem zakłopotaniem:

— Pierwsze piętro mniej jest zniszczone jak parter, proszę, jeźli chcesz pani zobaczyć.

I wskazując jej drogę, wstąpił na dębowe schody, o chwiejących się stopniach, których poręcze pokrywały piękne stare rzeźby, pokryte grubą warstwą kurzu. Jakoż rzeczywiście pierwsze piętro zasługiwało na względną udzieloną sobie pochwałę. Składało się prawie z jednej tylko ale ogromnej, dobrze oświeconej sali; światło dochodziło do niej przez dwa rzędy umieszczonych nad sobą okien. Nie był to pomysł budowniczego, ale skutkek zapadnięcia się sufitu, przez co dawna zbrojownia przybrała niezwykły wygląd i choć zniszczona miała przecież pańską minę.

Nie wiele znajdujących się tu mebli, ginęły w ogromie sali. W jednym jej rogu stało łóżko z kolumnami i baldachimem z wypłowiałej czerwonej materyi; w środku, poczerniały upływem lat, stół dębowy; dwa fotele pokryte obiciem przedstawiającem sceny z polowania według Gastona Phébus; w głębi naprzeciw łóżka komin z kolumnadą kamienną, świecącą się jak marmurowa. Po nad ogniskiem i ramą kominka, wyryty był ustęp z Pisma świętego, z listu do Koryntian. (Ustęp 3. rozdział XIII.) a jakkolwiek uszkodził go dym i kurz kilkowiekowy, przecież można jeszcze było odczytać.

„Choćbym całe mienie swoje oddał ubogim, i ciało moje wydał na męczarnie, wszystko to byłoby niczem jeźlibym miłości nie miał.”

Wyżej po nad tym gotyckiem napisem, wyrobiony był herb kamienny, otoczony snycerskiemi ozdobami, doskonale zachowany.

— Nie znam się na herbach, mój ojcze, czy nie zechcesz wytłomaczyć mi...

— Ja także nie mogę pochwalić się znajomością heraldyki, tak dziś zaniedbanej, a zapewnie Raul i Fryderyk nie są w tej nauce bieglejsi od nas.

Mówiąc to, pan Désormes spojrzeniem zapytywał o wytłomaczenie młodego przewodnika.

Zrozumiawszy nieme pytanie, tenże odpowiedział:

— Jestto herb margrabioskiej rodziny Lizardière: *złota jaszczurka w czerwonem polu i dwie złote obrączki, nad niemi korona margrabioska. Tarczę podtrzymują dwa gryfy; dołem tarczy dewiza: Zawsze prostą drogą!*

Panna Rajmunda słuchała tego wytłomaczenia wpatrując się w herb Lizardièr'ów z niewysłowioną pogardliwością i zarazem z mimowolnem poszanowaniem. Po chwili odwróciła się milcząc i przysunąwszy się do stołu, zaczęła bez ceremonii przeglądać leżące na nim książki i albumy.

— Nie śmiałbym zwracać uwagi pani na stare niezbyt zajmujące książki, i na album rysunków, nie wartych oglądania, rzekł młody przewodnik.

Nie podnosząc grzecznie podanej nauczki, panna Rajmunda odpowiedziała przygryzając usta.

— O! ja bardzo lubię stare książki, i mam pretensyę że się znam na nich. Oto *Le Jardin délicieux de la Touraine* przez Martin Marteau; edycya z roku 1663, ale jestto tylko przedruk. Oryginalne wydanie wyszło w r. 1661, p. t. *Paradis deliciéux.* Posiadam egzemplarz będący kiedyś własnością pani de Montespan.

Odłożywszy te książkę, wzięła do rąk inną.

— Ach! zawołała, to prawdziwy biały kruk; książki tej daremnie poszukuje już od roku: *Histoire agrégatine des annales et chroniques Danjou et du Maine.* Przywilej nadany Galliot Dupré a podpisany przez Jehan'a de la Barre, stwierdza że są one *extraictes de plusieurs historiographes antiques et modernes.* Patrz ojcze jaka śliczna oprawa! Jakże to dobrze pomyślane ta ręka po nad tytułem z mgły się wyłaniająca, i trzymająca księgę zamkniętą na dwie klamry... Śliczna, śliczna książka!.. Ojczulku, napisz do Paryża aby mi koniecznie taką wyszukano.

— Dobrze, moje dziecko; ale to pewna że gdyby Molière żył jeszcze, pewnie do swej galeryi kobiet, dodałby *młodą pannę trapioną manią zbierania starych książek.*

— Ach! ojcze nie mów mi o Molièrze! Dziś pasują go na rewolucyonistę, ale w gruncie był to arystokrata, czyli jak dziś nazywają — reakcyonista. Ale oto album nowoczesne, nie odnoszące się do tak odległych czasów jak *Histoire agregatine.*

I małą rączką w eleganckiej rękawiczce, zaczęła przewracać kartki albumu.

— Ależ to bardzo ładne! zawołała; jakaż śliczna akwarella... Są to krajobrazy zdjęte z tych okolic; poznaję młyn Braye, nad Molną... jaki doskonały rysunek!.. Czyje to utwory?

— Moje!

— Ach!... więc i ten wielki krajobraz olejny, wiszący na tej ścianie...

— Ja malowałem.

— A ten szkic Chrystusa?

— I tego grzechu się dopuściłem.

— Ależ to znakomicie odmalowane, wszak prawda, ojcze? Nie powinien pan zaniedbywać tak pięknego talentu.

— Zarzuciłem rysunek i malowanie.

— Ato czemu?

— Co mi po tem.

— Ależ to wielka szkoda!

I mówiąc to spojrzała z zadziwieniem na młodego człowieka, i pomimo jej woli mógł wyczytać w jej oczach największą pochwałę i zachętę.

— Trzeba nam wracać, ojcze, ale muszę jeszcze pomówić z tobą.

Gdy weszli na dziedziniec gdzie służący oczekiwali trzymając konie, panna Rajmunda odprowadziła ojca na bok, i tam mieli z sobą krótką ale ożywioną rozmowę. Kończąc ją pan Désormes powiedział:

— Nie umiem ci nic odmówić, ale doprawdy to szaleństwo.

Poczem zbliżył się do młodego ich przewodnika, którego uważał za nadzorcę starego zamczyska.

— Panie, rzekł, od razu przystępując do rzeczy, córka moja powzięła nagle myśl dość dziwną — oto pragnie koniecznie kupić to zrujnowane zameczysko, a że nie wiemy kto jest jego właścicielem, pozwalam sobie prosić pana o udzielenie mi pewnych pod tym względem objaśnień.

Młody człowiek zbladł, a po chwili odpowiedział drgającym głosem:

— Lizardière nie jest do sprzedania.

— Może jednak mimo to sprzedanoby je, rzekła Rajmunda, zapłaciłabym chętnie trzy razy więcej nad wartość.

— Podobny warunek mógłby tylko więcej jeszcze odstręczyć od sprzedaży.

— Więc właścicielem Lizardière jest jakiś oryginalny dziwak?

— Nie wiem czy jest oryginalnym dziwakiem, wiem tylko że bardzo jest przywiązany do tych ruin noszących jego nazwisko.

— Więc istnieje jakiś pan de Lizardière?

— Tak, istnieje margrabia de Lizardière, i mogę opowiedzieć państwu jego i tych ruin dzieje. Tak zamek ten, jak grunta i lasy, od najdawniejszych czasów należały do margrabiów Lizardière. W roku 1792 dziad obecnego margrabiego wyemigrował, a wróciwszy do kraju w 1814 r. znalazł zamek ten spustoszony, a cały prawie obszar gruntów i lasów, sprzedane jako własność narodowa. Odkupił zrujnowany zamek i resztki gruntu i lasu, ale nie był w możności odbudować rodzinnego gniazda naddziadów. Zubożony skutkiem zagarnięcia dóbr jego, ożenił się z piękną dziewicą równie znakomitego rodu ale też równie ubogą. Oboje umarli pozostawiwszy jedynego syna, który służył w gwardyi królewskiej do 1830 r. I on także ożenił się z ubogą dziewicą szlachetnego rodu, i umarł zostawiwszy dwoje dzieci: córkę która została siostrą miłosierdzia i syna.

— Więc musi to być człowiek zupełnie jeszcze młody! rzekł pan Désormes.

— Nazywam się margrabia Jan de Lizardière.

— Daruje pan że nie wiedzieliśmy tego, ale dopiero od kilku miesięcy mieszkamy w tej okolicy. Jestem Désormes.

— Wiem, pan senator Désormes; urządził pan wzorową fermę pod lasem Chateau-la-Vallière, przy drodze do Tours.

— Tak, panie.

— Znam wiele szczegółów odnoszących się do pana senatora. Posiada pan ogromny majątek, kopalnie w Owernii, zakłady hutnicze w Indre, pałac i kilka domów w Paryżu. Nie zazdroszczę panu jego milionów, nie zazdrość mi pan moich ruin.

— Ależ panie, lada dzień rozsypią się w gruzy, rzekła Rajmunda.

— Nic nie mam przeciw temu, byle i mnie zagrzebały w swych zwaliskach, odpowiedział.

— Doprawdy jesteś pan więcej niż oryginalnym... jesteś pan... jakby to powiedzieć... trochę... dzikim...

— Nie trochę — najzupełniej, i dowiodę pani

tego otwartością, która, jak sądzę, nie przekracza granic form światowych. Przykro mi słyszeć nazwisko pani, gdyż smutne budzi we mnie wspomnienia. W roku 1830, ojciec pani bił się przeciw mojemu w ulicach Paryża — a takich rzeczy się nie zapomina. Pewnego dnia — jeszcze mnie nie było na świecie — siostra moja, dziesięć lat starsza ode mnie, płakała siedząc na tym wielkim kamieniu pod drzewami; zobaczywszy to, ojciec zapytał jej: Co tobie moje dziecko? — Myślałam o królu, odpowiedziała... Otóż zarówno jak siostra moja — i ja także myślałem o królu, gdyście państwo nadjechali.

— Nie tylko nie mam panu tego za złe, ale więcej go jeszcze szanuję, odrzekł poważnie pan Désormes. Gdy się lepiej poznamy, mówić będziemy o polityce; teraz pozwól pan tylko powiedzieć sobie, że powinienbyś był urodzić się o sto lat wcześniej.

— Jednocześnie z księciem de Saint-Simon i hrabią de Boulainvilliers, dodała śmiejąc się Rajmunda.

— Czy raczy pani ich potępiać?

— Bynajmniej, i pewna jestem iż przemówiliby za mną do pana, odrzekła łagodnie, ze słodkiem spojrzeniem, pragnącem go przekonać. Nim rok upłynie, zrobiłabym z tych ruin prześliczny zamek w stylu Odrodzenia...

— I zapewnie zaprosiłaby mnie pani na wydawane w nim uczty i bale? przerwał z pewną goryczą i dziką wyniosłością; o nie!.. nigdy!.. nigdy!.. Przywiązałem się do tych ruin, i ruinami pozostać powinny... Tak jak są—drogie są dla mnie, i zniena widziłbym je gdyby za cudze pieniądze odmienną przybrały postać. Jestem ubogi, daleko jeszcze uboższy niż był mój ojciec; żyję tu sam, z jedynym sługą, starym przez ojca pozostawionym mi żołnierzem... zboża zaledwie starczy mi na nędzny kawałek chleba; koza moja obfitsze ma od nas pożywienie, bo może paść się trawą rosnącą w przydrożnych rowach... Pies mój szczęśliwszy odemnie; on może polować sobie w lesie, kiedy ja często nie mam za co kupić prochu i szrutu... Ale jeźli mnie często brakuje chleba, za to rodzice moi spoczywający w grobach pod kaplicą którą pani zwiedziła, mają zawsze kwiaty na grobie. Wprawdzie nie rzadkie i drogo płacone, ale świeże i wonne które zbieram na przyległych polach... Któżby o nich pamiętał, gdybym ja się oddalił?..

— Pod tym względem może pan być spokojny, najchętniej zobowiązałabym się...

— Nie, pani, nie sprzedaje się grobów... Popioły naddziadów moich pozostaną pod moją opieką, dopokąd obok nich nie spocznę.

— Nie nalegaj, Rajmundo, rzekł pan Désormes; pan de Lizardière z tak szlachetną godnością przyznaje swoje ubóstwo, że powinniśmy uszanować je i cofnąć naszą propozycyę.

— Na nieszczęście, rzekł Fryderyk Legrand, nie tak delikatny jak pan Désormes, nie wszyscy zapewnie będą je równie szanować, i jeżli pan margrabia ma wierzycieli...

— Nie, mój panie, nie mam wierzycieli ani długów, i nic nikomu nie jestem winien... jestem ofiarą biedy, ale nie niewolnikiem wierzycieli. Nawet od krewnych moich, hrabstwa Chazé, żadnej pomocy przyjąć nie chciałem, wyrzekłem się przyjemności odwiedzania ich, aby w obec gości swoich nie potrzebowali się wstydzić biednego mego ubrania. Zanim bym dozwolił aby ruiny Lizardière przeszły w obce ręce, podpaliłbym je własnemi rękami.

— Jesteś pan stokroć dumniejszy niż sądził mój ojciec, rzekła Rajmunda, a jednak mimo to mam jakieś przeczucie że choćby wbrew woli jego ruiny te staną się moją własnością.

I mówiąc to wyciągnęła rękę ku ruinom, jakby obejmując je w posiadanie.

— Nigdy! zawołał margrabia, podniósłszy zaciśnięte pięście jakby w ich obronie.

— Nie podoba mi się ten potomek nieboszczyka Carabas'a, rzekł Fryderyk Legrand.

Ochłonąwszy nieco, młody margrabia poznał że okazał się za nadto gwałtownym, a zatem trochę śmiesznym; uśmiech rozjaśnił twarz jego, i kłaniając się uprzemie pannie Désormes, rzekł z największą grzecznością:

— Przebacz pani, mówiłem z większem niż przystoi uniesieniem; ale mając tak artystyczne usposobienie, może nie rozgniewa ją spotkanie rodzaju druidy, w okolicy w której lasach i polach znajdują się dolmeny. Posiadam jeden wśród jedynej łąki jaka mi pozostała; racz pani pozwolić abym go jej nie sprzedał, ale ofiarował.

— Przyjmę dolmen, gdy posiędę zamek.

— A więc... nigdy!

— A więc... kto wie?

I spojrzenia ich skrzyżowały się jak dwie szpady.

— Skończ już, moja córko, kupno ci się nie udało. Podziękujmy panu de Lizardière za uprzejmość z jaką zechciał nam pozwolić zwiedzić malowniczy swój przybytek, i odejdźmy.

— Pani, rzekł skłaniając uprzejmnie głowę, w wiekach średnich damy szlachetnego rodu, wsiadając na koń, rękami swych paziów posługiwały się jakby strzemionami; oto moja ręka.

I pochylił rękę prawie do ziemi, panna Rajmunda wsparła na niej koniec swej nóżki i Jan podniósł ją zwolna aby mogła usiąść na siodle. I znowu skrzyżowały się ich spojrzenia; poczem silnie uderzywszy konia szpicrutą ze złotą gałką, puściła się galopem.

Stanąwszy u stóp wzgórza, odwróciła się ku Lizardière, mówiąc półgłosem:

— Oj! ta stara szlachta!

Jednocześnie Jan de Lizadière ścigając wzrokiem oddalającą się kalwakatę, zawołał z gniewem i niewysłowioną pogardą:

— Oj! ci dorobkiewicze!

III.

Powrót Pieyrard'a.

Gdy już pan Désormes wraz ze swem towarzystwem zwrócił się w kierunku Molny, Jan nie mógł już widzieć amazonki panny Rajmundy przesuwającej się między drzewami, wtedy wrócił na swoje miejsce na kamieniu pod drzewami, i gwizdnął na swego psa który przybiegł natychmiast.

Klodion nie był młody, ale jeszcze ładny. Miał długie bardzo jedwabniste kudły, i dlatego nazwano go Klodionem, na pamiątkę długowłosego Merowinga. Jakim sposobem Klodion, mięszaniec bengalskiego wyżła i jamnika mógł posiadać wielką grzywę? — to już tajemnica minionych czasów — to tylko pewna że ją miał, i że przesuwanie po niej ręką było jedną z największych przyjemności margrabiego. Wpadał wtedy w zadumę, a nawet często rozmawiał sam z sobą. I teraz zaczął głaskać ładnego psa, wpatrującego się w niego rozumnym przywiązanie zdradzającym wzrokiem.

— Czy wiesz, przyjacielu Klodionie, czego się zachciało tej wysokiej blondynce, co przyjechała tu na karym wierzchowcu?

I wskazał ręką drogę którą odjechała Rajmunda. Zdaje się Klodion musiał go zrozumieć, gdyż zawył żałośnie i pokazał swe ostre białe zęby.

— Tak, tak, Klodionie, chciała zabrać nam Lizardière, nasze dwa orzechowe drzewa i kozę... *the goat!*

Klodion zaszczekał; Jan uspokoił go pogłaskaniem i dodał:

— Możeby i ciebie mi zabrała, Klodionie.

Pies wpatrywał się w swego pana z zadziwiewiem.

— Ale, przyjacielu Klodionie, mówił dalej, u niej byłbyś daleko szczęśliwszy... miałbyś piękną budę i wygodne posłanie, kosztowną obróżę, trzy razy na dzień dobre jedzenie, i jak za młodych lat, mógłbyś uganiać się w lesie za zwierzyną... No, cóż, chcesz pójść do tej pięknej panny? jeźli tak biegnij prędko za nią.

I mówiąc to, Jan wskazywał bramę i drogę. Klodion postąpił pare kroków, ale wrócił natychmiast i położył łeb na kolanach pana.

— Nie chcesz poczciwy Klodionie, wolisz podzielać nędze twego biednego pana... Dobrze iż umiesz być wiernym w nieszczęściu — jestto cnota którą dziś ludzie psom zostawiają... A potem, wiedz o tem że u bogaczów psów zły koniec czeka — gdy już niezdatne do polowania, zabijają je... Ale co się stało z Pieyrard'em?.. czy i jego mi zabrali?.. ale nie — i on także nie zezwoliłby na to... Czy cię to nie dziwi, Klodionie, że Pieyrard jeszcze nie wrócił?.. poszedł do Lude, do starej Honoraty, po należne mi pieniądze, owe trzysta franków tak niezbędnie mi potrzebne... Wszak to cały nasz dochód a wcale nie zawielki na dwóch ludzi i jednego psa!..

Od kilku chwil Klodion nastawił uszu i patrzył bacznie w stronę drogi; nagle pobiegł ku bramie, w którą jednocześnie wchodził wysoki starzec. Szedł prosto i pewnym krokiem pomimo podeszłego wieku, i znać było że nie znużenie ale smutek go przygniata.

— No i cóż, kochany Pieyrard?

— Złe wiadomości, panie margrabio. Matka Honorata nie będzie mogła zapłacić w tym, a może nawet i w przyszłym roku. Z powodu śmierci męża miała nieprzewidziane wydatki na uregulowanie spadku, a nie dość na tem syn jej, ten co jest drwalem, spadł z wysokiego dębu w lesie Jupilles, i złamał nogę. Nietylko nie jest w stanie zapłacić ale biedaczka bardzo potrzebowałaby pomocy. A! gdyby pan wiedział jak kobiecisko rozpacza że nie może zapłacić. To okropność, mówiła z płaczem, nie módz uiścić się panu margrabiemu, którego ojciec tak był dobry i dwadzieścia lat temu pożyczył nam 6,000 fr. na kupno tej fermy... To też jeźli pan margrabia zażąda, sprzedam fermę i zapłacę.

— Nie, mój Pieyrard'zie, sam za nadto jestem nieszczęśliwy abym mógł pragnąć nieszczęścia innych... Ale cóż my poczniemy?.. Liczyłem na to że temi pieniędzmi zapłacę podatki już od tak dawna należne... Poborca przysłał mi już dwa wezwania.

— Ach! panie margrabio jakież to nieuczciwe żdzierstwo, nakładać trzysta franków podatku, na posiadłość nie przynoszącą i stu franków dochodu. Gdzież tu sprawiedliwość!

(*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

— Zdaje mi się, mamo, że moja jasno zielona jedwabna suknia, będzie jeszcze ładnie wyglądać przy świetle, a że stanik utracił już wiele ze swej pierwotnej świeżości, przykryję go koronkową chusteczką, której końce, niestety! są bardzo podarte... Ale to nic nie szkodzi; zawiążę ją *à laMarie-Antoinette*, jestto i ładnie i dozwoli mi ukryć jej liczne rany. Ale co przypnę do głowy, rzekła sięgając do szuflady, i wyjmując z pośród rozmaitych rupieci gałązkę sztucznych kwiatów. Te kwiatki nie naśladują bynajmniej świeżych, o nie! prędzej już zwiędłe; ale, droga mateczko, rachuję na to że im przywrócisz trochę pierwotnej świeżości skoro potrzy masz je nad parą; Gryzela musi już mieć gorącą wodę na herbatę.

Pani radczyni zastosowała się do prośby córki, i wkrótce gałązka skarletu ozdobiła czarne włosy Teodory.

— Ah! droga mamo, to jeszcze nie wszystko; zlituj się, wyczyść gumą moje rękawiczki. Ja nie mam na to czasu, bo teraz dopiero zobaczyłam że falbanka u spódniczki zupełnie podarta. Trudno już na to poradzić teraz, muszę więc pójść za przykładem ogrodników obcinających nie potrzebne gałęzie, i odrzucić ją zupełnie... Stanik za szeroki; proszę cię o szpilki, mateczko. Co to za nieoceniony wynalazek te szpilki! tak łatwo zastąpić nimi poobrywane haftki i guziki! Wynalazca zasługuje na wieczną wdzięczność za takie dobrodziejstwo!.. No! niechże kto teraz zobaczy że stanik brudny a końce chusteczki podarte... Ubrałam się na koniec, rzekła Teodora, spoglądając po sobie z zadowolnieniem i pewnem rodzajem ulgi. A! gdzie tam, nie jeszcze! nie mogę przecie pójść na wieczór w pantofelkach, dodała zdejmując je prędko i odrzucając na drugi koniec pokoju. Dobroczynna wróżko, ukrywająca się pod postacią mej drogiej mateczki, przyszyj, jeżeli łaska, kokardki do trzewiczków twego Kopciuszka, który tymczasem zmieni pończochy... Straszna rzecz! mam już tylko jedną parę czystych, i to z takiemi dziurami, że ręka przeszłaby przez nie z łatwością. To mnie pociesza jedynie że tylko podeszwy podarte... Będę mogła powtórzyć z prawdziwem zadowolnieniem korsykańskie przysłowie: „Tylko trzewiki wiedzą czy pończochy są podarte." Czy nie prawda, mamo, że to bardzo rozumne przysłowie?

Toaleta została ukończoną wśród śmiechu i okrzyków wywołanych brakami i uszkodzeniami w garderobie, i Teodora jaśniejąca pięknością, stanęła przed lustrem, chcąc się przekonać czy nie ma już nic do poprawienia, a matka jednocześnie chodząc koło niej z lampą w ręku, przyglądała jej się uważnie. Żadna z nich nie spostrzegła że Gryzela otworzyła drzwi, i że wszedł do pokoju młody człowiek przystojny i wysokiego wzrostu, który zbliżył się cicho do Teodory, i zasłonił jej nagle oczy rękami.

— Fryderyk! szkaradny zdrajca, zawołała śmiejąc się wesoło.

— Moja najdroższa, zawołał Fryderyk opuszczając ręce, bardzo mnie to cieszy że zastałem cię choć raz przed zwierciadłem! Wmawiałaś we mnie że nie masz ani trochę próżności kobiecej, a teraz przekonałem się że, dzięki Bogu, jesteś jak inne kobiety nieodrodną córką Ewy.

— I to ci sprawia przyjemność, Fryderyku? zapytała zdziwiona Teodora. Muszę przecie zobaczyć w lustrze czy moja toaleta odpowiada wszelkim wymaganiom, skoro zostaje pod władzą tyrana, posiadającego wzrok tak bystry, że potrafi wyśledzić najmniejszą pod tym względem niedokładność.

— Czyli raczej, odpowiedział Fryderyk, który zna wymagania świata lepiej niż panie, a zwłaszcza, niż nasza kochana mama, wiodąca prawdziwe pustelnicze życie. Teraz muszę znów wystąpić w roli despoty i przypomnieć ci, moje serce, że już bardzo późno. Wszak jesteś ubrana?

— Tak, cudem prawie. Podziękuj za to mojej drogiej mateczce, która mi dopomagała i zasługuje aby ucałować po sto razy jej rączki, rzekła Teodora. Ja także spieszyłam się bardzo, dzięki obawie jaką przejmuje mnie myśl że mogłabym wzbudzić twe niezadowolnienie. Jakąż ja kiedyś będę uległą żoną, skoro teraz już lękam się gniewu narzeczonego!

Jednak gdy to mówiła w oczach zamiast obawy błyszczało gorące przywiązanie, i pozwoliła swemu tyranowi aby ją otulił szalem.

— A! zapomniałam o nutach! zawołała już przy drzwiach, obiecałam Henrykowi Turner że mu przyniosę duet Mendelssona i śliczną sonatę na cztery ręce! Kochany kuzynek gniewałby się na mnie gdybym o nim zapomniała.

— A tobie tak bardzo o to idzie aby ten kochany kuzynek nie rozgniewał się na ciebie? zapytał Fryderyk z goryczą.

Teodora zwróciła się prędko ku niemu, i czas jakiś bystro patrzyła mu w oczy.

— Baszo turecki, zawołała nakoniec, powinnabym dla ukarania cię postarać się o to aby Turner naprawdę zalecał się do mnie.

Fryderyk zmarszczył brwi i zarumienił się z gniewu, Teodora zaś widząc że jej słowa tak żywo go dotknęły, dodała pieszczotliwym głosem:

— Nie gniewaj się, Fryderyku, nie chciałam ci zrobić przykrości, jeźli chcesz tego, to nie wezmę tych nut z sobą.

Wpatrywał się w nią parę minut w milczeniu, a potem rzekł zniżonym głosem:

— Przebacz mi, Teodoro, że ci dokuczam moją niedorzeczną zazdrością. Daj mi nuty, skoro je obiecałaś Henrykowi Turner, powinnaś dotrzymać obietnicy.

Podała mu natychmiast przyszykowaną już paczkę, i pożegnali matkę słuchającą w milczeniu ich rozmowy. Srebrzysty śmiech Teodory słychać było jeszcze na schodach, Fryderyk był poważny i zamyślony.

II.

Narzeczeni.

Oczy matki błyszczały dumą gdy patrzyła na oddalającą się młodą parę, a jednak po chwili czoło jej się zasępiło jakby pod wpływem jakiejś przykrej myśli. Wprawdzie Teodora przyrzekła swą rękę Fryderykowi, nie dla jakiegoś interesu ale że kochała go szczerze i z całej duszy, jednak w sercu matki budziła się jakaś nieokreślona obawa w miarę jak zbliżała się chwila stanowczego rozłączenia. Nie można było nic zarzucić postępowaniu Fryderyka Gahlen od dnia w którym został narzeczonym Teodory, a jednak to nie uspakajało jeszcze pani radczyni von Kleist. Była zbyt bystra aby mogła nie dostrzedz że pomiędzy młodą parą powstawały niekiedy lekkie nieporozumienia, i zadawała sobie pytanie jaka będzie ich przyszłość, gdyż niepodobna było nie widzieć tego, że tak ich nawyknienia jak sposób życia a nawet wyobrażenia, o wiele różniły się z sobą. Narzeczeni odebrali tak odmienne wychowanie! jakże zdołają się zrozumieć w ścisłych stosunkach wspólnego życia?

Pobłażliwy mąż pani von Kleist nie tylko że nie starał się wpłynąć na zmianę upodobań i dążności żony, ale rozbudzał je w niej jeszcze, tak dalece że oddała im się całą duszą zapominając o wszystkiem co nie wchodziło w zakres nauki lub też piśmiennictwa. Przyjście na świat córeczki zamąciło nieco spokojne i samotne życie małżonków; szczęściem jedna z tych nieocenionych istot, zwanych zwykle ciotkami, a które zdarza się spotykać czasem w uprzywilejowanych rodzinach, podjęła się opieki nad niemowlęciem, do czego niepraktyczna pani Kleist, pomimo swej miłości macierzyńskiej, była całkiem niezdolną. Pobyt tej nieocenionej ciotki miał wprawdzie trwać dość krótko, ale przeciągnął się tak długo że pani von Kleist wolna od macierzyńskich kłopotów, poświęciła się znów całkiem ulubionym swem zajęciom.

Smutek z powodu śmierci pana von Kleist zbliżył więcej do siebie matkę i dziecię, i wtenczas to pani von Kleist zaczęła pracować nad ukształceniem córeczki, której niepospolite zdolności i śliczna powierzchowność budziły dumę w jej macierzyńskiem sercu. Dodajmy że Teodora była wolną od próżności i zarozumienia, a wszelkie swe talenta i wiadomości, przypisywała swej nieporównanej nauczycielce, której pilne i troskliwe starania wykształciły jej umysł i serce. Jednak pani Kleist nie mogła nauczyć córki więcej nad to co umiała, nie dała jej też żadnego wyobrażenia o robotach kobiecych lub zajęciach gospodarskich, dla tej prostej przyczyny, że nie tylko były to rzeczy nieznane jej zupełnie, ale jeszcze że przez całe swe życie nie uznawała potrzeby nabycia podobnych wiadomości. Obdarzona bystrem pojęciem i pracowita gdy szło o zajęcia umysłowe, uważała zatrudnienia domowe i gospodarskie jako złe niezbędne, które trzeba znosić z konieczności, starając się jednak uwalniać od nich o ile tylko można. Trudno się dziwić że posłuszna uczennica odziedziczyła to jej usposobienie. Matka i córka widziały w niezbędnych wymaganiach życia domowego przykre zamącenie spokoju i oderwanie od ulubionej pracy, i dla tego też wyłamywały się od nich o ile to było w ich mocy. Pani von Kleist nie potrzebowała troszczyć się o swe utrzymanie, dzięki dożywotniej pensyi i procentom od niewielkiego osobistego majątku, który powiększała dochodami jakie przynosiły jej literackie zajęcia, chcąc tym sposobem zapewnić przyszłość Teodory; jeżeli więc utrzymanie ich było skromne to bynajmniej nie z konieczności, ale z własnej woli. Z pomieszkania na czwartem piętrze miały rozległy widok na lasy, łąki i pola, którym rozkoszowały się ciągle, a po co miały trzymać stałą służącą, skoro nawet krótka obecność Gryzeli i Merkurego już im przeskadzała, i dopiero po ich oddaleniu czuły się zupełnie swobodne.

Jakże odmiennem było wychowanie Fryderyka Galhen! Urodzony w małem miasteczku gdzie ojciec jego był aptekarzem, przepędził lata dziecinne

i dni pierwszej młodości w domu urządzonym z surową systematycznością, którego zasady i zwyczaje stały się w końcu prawie drugą jego naturą. Uważał życie rodziców jako najlepszy wzór do naśladowania, i rzeczywiście, państwo Galhen, ludzie bez wyższej ogłady i niezbyt wykształceni, ale bardzo poczciwi, byli powszechnie szanowani w mieście.

Nie ma nic doskonałego na świecie, więc też rodzice Fryderyka, a zwłaszcza matka, tak uporczywie trzymali się swoich nawyknień, że to musiało wyrobić w nich zbyt jednostronny i trochę ciasny pogląd na rzeczy, oraz pewien rodzaj pogardy dla wszystkich prowadzących odmienne od nich życie, nie mówiąc już nic o tem, że wszelkie nowoczesne zmiany przejmowały ich najżywszym wstrętem.

Przejęci czcią dla dawnych dobrych czasów oraz ich zwyczajów, wychowywali dzieci tak jak ich wychowywano, to jest z surowością posuwającą się niekiedy aż na zbyt daleko, a gdy po śmierci męża, pani Gahlen stanęła na czele swej licznej rodziny i domu, uchwyciła wodze silną ręką i wywiązała się ze swego zadania bez najlżejszej oznaki słabości. Była to kobieta energiczna, obdarzona umysłem wprawdzie nie wzniosłym, ale żywym i bystrym, co dozwalało jej prowadzić dobrze gospodarstwo domowe, interesa i dzieci. Jej władza była despotyczną i zaledwie niekiedy złagodzoną jakąś oznaką czułości, a pomimo to dzieci kochały ją bardzo, gdyż czuły że pod tą cierpkością obejścia i wysłowienia, kryje się serce przepełnione miłością macierzyńską.

Pod takim to wpływem wzrastał Fryderyk i nawykł do systematyczności i surowo przestrzeganego porządku, dopiero gdy opuścił dom rodzicielski udając się do Uniwersytetu, poznał że i pod tym względem można dojść do przesady. Z początku walczył dzielnie w obronie swych wyobrażeń i droższych mu jeszcze nawyknień, przeciwko wszystkiemu co mogło jej naruszyć, ale następnie zmuszony siłą okoliczności do pewnych ustępstw, doznał takiego uczucia oswobodzenia, jak ptak wychowany w klatce, któryby pierwszy raz uleciał w powietrze i zakosztował wolności. Jednak ta zmiana wywołana odmiennemi warunkami życia, nie mogła przeistoczyć zupełnie natury Fryderyka, a za każdą jego bytnością u rodziców, uwielbienie dla nich i dla zwyczajów przyjętych w ich domu, odzyskiwało swą pierwotną siłę.

Narzeczeni spotkali się po raz pierwszy u radcy Turnera, wuja Teodory, do którego Fryderyk został wprowadzonym przez Henryka Turner. Młody Gahlen zaraz od pierwszego widzenia został olśnionym pięknością panny von Kleist, przyjmującej jego hołdy wesoło i z jakimś dziwnie pociągającym wdziękiem. Literaci i artyści cenili wysoko umysł jasny, bystry, oraz zmysł krytyczny Fryderyka, a Teodora znajdowała największą przyjemność w rozmowie z młodym uczonym, który w jej obecności tracił swą przedwczesną powagę.

Na co zdałoby się zresztą tłomaczyć jakim sposobem miłość wdziera się do serca. Byli oboje młodzi, piękni, poczciwi, zadowoleni z życia, jakże nie mieli pomyśléć że przyszłość przedstawiająca im się tak pięknie, byłaby jeszcze piękniejszą gdyby ją spędzali razem.

Widzieli jednak oboje jak dalece różniły się ich gusta, charaktery, wybrażenia i sposób zapatrywania się na rzeczy. Fryderyk, jakkolwiek zakochany, był nazbyt rozważnym i bystrym, aby mógł nie widzieć tego że jego narzeczona jest zupełnie pozbawioną przymiotów stanowiących dobrą gospodynię, tak wysoko cenionych przez jego matkę, siostry, a nawet i przez niego. Gdy następnie zaczął bywać codzień u pani Kleist, przekonał się że przykład matki nie mógł pod tym względem wpłynąć korzystnie na Teodorę, i pocieszał się tą nadzieją że miłość, ten nieporównany nauczyciel, wskaże jej jakim sposobem będzie mogła najłatwiej zapewnić sobie przywiązanie i szacunek męża. Nie gniewała się i nie dąsała za wymówki które ściągała na siebie często przez swe niedbalstwo; po co więc miałby niepokoić się takiemi drobnostkami?

A jednak te drobnostki dręczyły go ciągle, zwłaszcza gdy pomyślał o matce, o jej przerażeniu gdy się przekona że jej synowa nie ma wyobrażenia o kuchni, szyciu, utrzymaniu bielizny i tem podobnych zajęciach. Siedząc obok Teodory wesołej i rozmawiającej swobodnie w pokoju nie sprzątniętym porządnie od niepamiętnych czasów, przenosił się myślą do rodzinnego domu, i lekki dreszcz przebiegł jego ciało. Co powiedziałaby na to pani Gahlen, tak surowo strofująca córki za najlżejsze zaniedbanie? Ba! Teodora jest równie dobra jak piękna, a przy tem posiada tak znakomite zdolności i tak bystre pojęcie że pani Gahlen wykształci ją wkrótce na znakomitą gospodynię, i będzie mogła poszczycić się taką uczennicą. Ta myśl pocieszająca napełniała radością serce Fryderyka, i nie obawiał się już spotkania nieuniknionego, z powodu że dostał posadę dyrektora gimnazyum w swem rodzinnem mieście, co było bardzo pochlebnem dla tak młodego człowieka.

Teodorę znów niepokoiło to bardzo, że jej narzeczony przywiązywał tak wiele wagi do szczegółów nie mających dla niej żadnego znaczenia. Wiedziała o tem że jej wychowanie różniło się bardzo od tego jakie odebrały jej rówienniczki, ale nie widziała w tem nic dziwnego, aż do chwili w której przestrogi Fryderyka dały uczuć jej niższość pod tym względem. Nie oburzała jej nagana udzielona zresztą bardzo delikatnie, ale nie mogła przyrzekać poprawy, skoro nie miała nawet wyobrażenia jakim sposobem zdołałaby to wykonać. Ale to nie wszystko jeszcze; miała ważniejsze powody smutku. Często gdy unosiła się nad kimś z ludzi, lub nad jakiem dziełem, młody uczony studził jej zapał swą nielitościwą krytyką, a jakkolwiek ceniła wysoko jego zdanie, przykro jej było że zapatrywał się na wszystko tak zimno i rozważnie, gdy ona pragnęła aby sprzyjał gorąco temu co budziło w niej uwielbienie. Taką sympatję znajdowała u swego kuzyna Henryka Turner, młodego muzyka, dla tego też jego imie i zdania nasuwały jej się często na usta, dopóki zazdrość Fryderyka nie zmusiła ją do ostrożności, bardzo przykrej dla osoby tak szczerej i otwartej jak ona.

Bądź co bądź, chmury na niebie młodej pary nie były ani tak liczne, ani tak czarne, aby budziły obawę co do przyszłości, lub też żal z powodu przyjętego zobowiązania. Nieporozumienia nie trwały nigdy długo; do rozproszenia ich wystarczało jedno słowo, jedno spojrzenie. Wzajemne przywiązanie tych serc szlachetnych było zbyt silne, aby je mógł wykorzenić jakiś ostrzejszy podmuch chłodnego wiatru.

Jakkolwiek byli zaręczeni już od kilku miesięcy, Fryderyk nie mógł jeszcze przedstawić narzeczonej matce i siostrom, ale mówił z nią o nich bardzo często, i w takim razie w jego twarzy i głosie było tyle ożywienia że Teodora słuchała go z najżywszą przyjemnością. Prócz tego, mogła tym sposobem powziąć jakieś wyobrażenie o rodzinie narzeczonego, oraz o jej zajęciach i nawyknieniach, tak odmiennych od jej własnych; skoro więc tylko spotrzegła że jakiś nowy dowód jej niedbalstwa sprawił przykre wrażenie na Fryderyku, zapytywała go w jaki sposób jego matka i siostry postąpiłyby w podobnym razie. Odpowiadał jej zawsze chętnie: dom jego matki był dla niego ideałem domowego ogniska, a narzeczona słuchała zawsze jego opowiadania z uwagą pochlebiającą mu wielce. Nie sądziła jednak aby ktoś mógł przypuszczać że ona, Teodora Kleist, poweźmie zamiar naśladowania tego najdoskonalszego wzoru gospodyni i pani domu.

Pewnego dnia, gdy Teodora wciągu jakiejś żartobliwej sprzeczki, rzuciła na głowę Frederyka poduszkę z kanapy, wysypało się z niej tyle kurzu, że dusząc się nim, zawołał z najwyższym wstrętem:

— Co za okropność! Więc u was nigdy nie trzepią mebli.

— Teodora położyła nieszczęsną poduszkę na jej zwykłem miejscu, i śmiejąc się odpowiedziała:

— Zdaje mi się że tak sroga kara nie spadła nigdy na nie wciągu ich spokojnego i niewinnego życia. Wprawdzie Gryzela nie raz już zamierzała to uczynić, ale powstrzymałyśmy ją zawsze, nie chcąc aby nam przeszkadzała.

Zasępiona twarz Fryderyka dała jej do zrozumienia że tu żarty są niewczesne, i chcąc zatrzéć niekorzystne, wywołane przez siebie wrażenie, zapytała w jaki sposób pani Gahlen utrzymuje porządek w swym domu.

Fryderyk, spełniając jej życzenie, rozwodził się z takiem upodobaniem nad wszystkiemi szczegółami, że już to samo dowodziło jak wielką wagę przywiązywał do nich; nastawał szczególniej na to że w domu jego matki każde zajęcie odbywało się niezmiennie w oznaczonym dniu lub godzinie.

— Pyszna rzecz! zawołała Teodora. Gospodarować w ten sposób, jestto naśladować niewzruszone prawa natury.

— Bezwątpienia; zasady porządku są zawsze niezmienne, i liczę na to że potrafisz je zastosować kiedyś u siebie.

— Kto taki? ja? zawołała z komicznym wyrazem przestrachu Teodora. No! byłby to cud prawdziwy! Umarłabym z nudów, gdyby mi przyszło myśléć zawsze o tych półrocznych praniach, tygodniowych naprawianiach bielizny i codziennem zmiataniu kurzu z mebli.

Fryderyk odwrócił się od niej nie mówiąc ani słowa, ale Teodora dostrzegła że zmarszczył brwi, i domyślając się co było tego powodem, zbliżyła się do niego, wsparła rękę na jego ramieniu i rzekła pieszczotliwie:

— Czy wiesz, mój najdroższy, jakim sposobem radzić sobie będziemy? Napiszesz mi wykaz zajęć czekających mnie w każdym dniu, ja zaś nauczę się tego na pamięć i powtórzę ci rano przy kawie. Tym sposobem będę pewną że nie zapomnę o niczem, i będę mogła spełnić wszystkie obowiązki gospodyni domu. Cóż na to powiesz?

Fryderyk nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w śliczne oczy dziewczęcia, i myśląc o tem że ta urocza istota będzie należyć do niego, podzielać jego życie, zapomniał o wszystkiem zresztą, nawet o tem o czem wiedział doskonale, to jest, że jego zachwycająca narzeczona nie byłaby zdolną przyrządzić choćby tylko filiżanki dobrej kawy.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 21.

(Dokończenie.)

N. 14—17. Kosz do robót i przykrycie na stolik do szycia. Patrz ryc. 26—28 w N-rze 20.

Odrobienie koszyczka do robót przedstawionego na r. 16, wymaga tylko trochę zręczności, materyał główny stanowi dość gruba tektura a na pokrycie kaszmir ciemno zielony. Przyozdobienie boczne stanowi wyszycie dane na ciemno zielonej wełnianej kanwie, przedstawione w naturalnej wielkości na ryc. 14, frendzla 8 cent. szeroka wysiepana jest z ciemniejszej kanwy; deseń szlaku daliśmy na r. 26 w N. 20. Przykrycie koszyczka ozdobione jest wyszyciem, danem wprost na materyale stanowiącym pokrycie zwierzchnie, podług ryc. 28 w N. 20, pod wyszycie podkłada się kanwa, którą następnie trzeba wysiepać. Na r. 15 daliśmy w zmniejszeniu formę koszyczka, wypisując na niej całkowite miary długości i szerokości; *a* oznacza połowę denka ściętego na rogach, które z wierzchu przyłożone jest watą i pokryte szarem płótnem irlandzkiem, wyszytem krzyżykami. Literą *b* oznaczona jest połowa boków koszyczka, których brzegi zachodzą szeroko pod denko; na zgięciu w miejscu oznaczonem linią kropkowaną potrzeba ostrym nożem lekko naciąć tekturę. Miejsca wycięte przy podkładaniu brzegów pod denko (szerokość wycięć trzeba zastosować podług ryc. 15) łączą się szwem a spód koszyczka do skończenia podkleja się płótnem. Do bocznych ścianek przytwierdzone są kieszonki do pomieszczenia przyborów do szycia, dwie z nich są po 17 szerokie, dwie drugie po 13 cent., długość 8 cent. wynosi. Podług litery *c* krają się obie połowy przykrycia, które po powleczeniu kaszmirem łączą się z boczkami koszyczka 8 cent. szerokiemi, szew zaś przysłonięty jest sznureczkiem otaczającym brzegi. Przykrycie na stolik do szycia robi się z tego materyału co zwierzchnie powleczenie koszyczka, ozdabia z brzegów poprzecznych odpowiednim szlakiem i podszywa satynką; liczy ono 91 c. długości a 46 szerokości.



N. 1. Kapelusz okrągły tiulowy. Patrz ryc. 2.



N. 3—4. Ubranie dla dorastającej panienki.



N. 2. Kapelusz okrągły tiulowy. Patrz ryc. 1.

N. 18—19. Ubranie dla małej dziewczynki.

Składa się z bluzki i spódniczki fałdowanej i może być uszyte zarówno z materyału wełnianego jak letniego. Fałdowana spódniczka 25 cent. długa przyszywa się do gładkiego staniczka. Bluzka u dołu ściąga się na taśmę lub elastykę i przypina w pasie na guziki do staniczka. Szlak haftowany w ma szynie na kolorowem płótnie, 5 cent. szeroki, stanowi przyozdobienie sukienki r. 18, uszytej z brylantyny w paski; kokardki z wstążki ponsowej 4 cent. szerokiej. Ryc. 19



N. 5—7. Ubrania spacerowe.

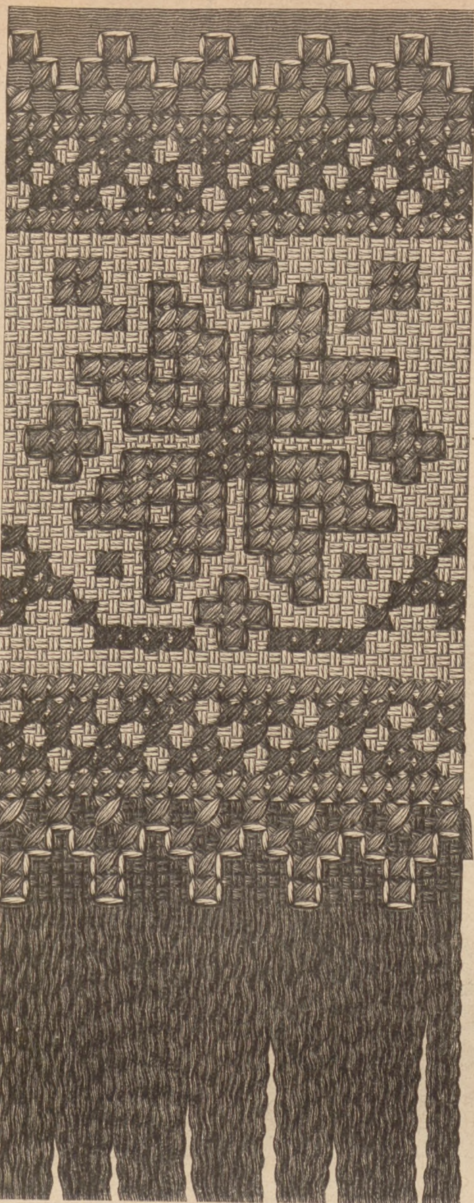
N. 5. Suknia z gładkim stanikiem.

N. 6—7. Ubranie z długą pelerynką.

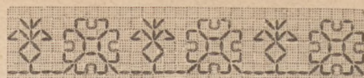
przedstawia sukienkę z piaskowego lub granatowego płótna przybraną irlandzką gipiurową koronką robioną szydełkiem. Kołnierz takąż robotą wycina się najpierw z papieru, a następnie układa różne desenie w robocie stosownie do formy. Wzór takiej koronki podaliśmy na ryc. 36 w N. 12.



N. 8. Szlaczek.



N. 14. Szlak z frendzlą do ryc. 16.



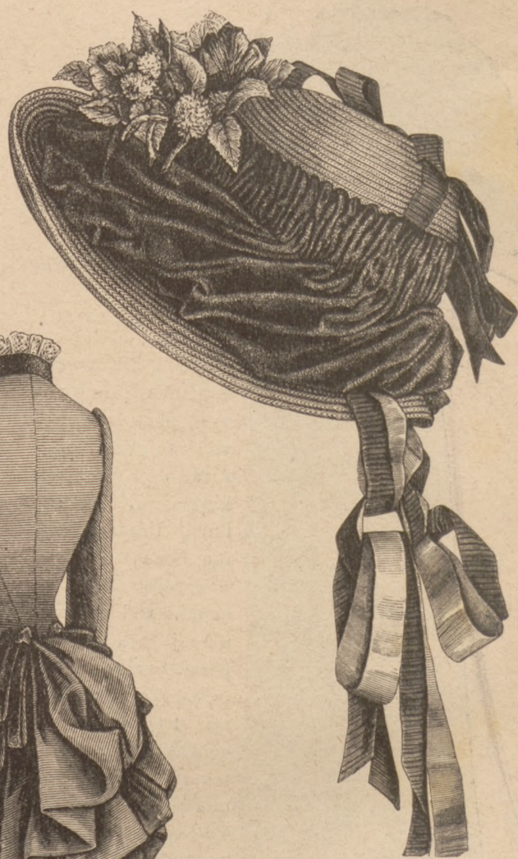
N. 9. Szlaczek.

stopniowo co raz to krótsze, stosownie do formy trójkątnej. Cztery trójkąty złączone są z sobą pajączkiem, robionym szydełkiem podług ryc. 23, zaś na skrzyżowaniu się plecionki medaljonowej, zrobiona jest rozetka szydełkowa, zaczynająca się podług r. 25. Trójkąty z brzegów bocznych obrabiane są rzędem o: óć. z pikotami. Na ryc. 26 daliśmy wzór koronki reticella robionej ręcznie igłą; sposób tej roboty opisywaliśmy już w Tygodniku Mód w roku przeszłym, ponieważ jest to robota bardzo powolna i zmudna, wymagająca wprawy i dobrego wzroku, nie powtarzamy więc szczegółów, a zwolenniczki zechcą zwrócić się do N-rów przeszłorocznych.



N. 10. Kapelusz przybrany koronką i kwiatami.

N. 12. Suknia z vêtement.



N. 11. Kapelusz z rondkiem w dwóch kolorach. Patrz r. 37

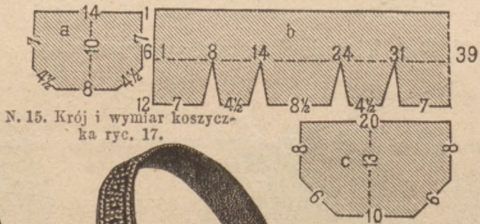
N. 13. Suknia z garnirunkiem z pukielków. Patrz r. 2 w N. 20.

N. 20. Szlak ściegiem sznureczkowym, do serwet, bielizny na pościel i t. p.

Szczegółowy opis wyszycia starodawnym ściegiem sznureczkowym, daliśmy już w N. 17 przy ryc. 21—22, gdzie wyszycie było znacznie grubsze, dziś zaś dajemy szlak odrobiony delikatniej na tle cieńszem.

N. 23—26. Wszywka i koronka reticella, robiona szydełkiem lub igłą.

Ryc. 23 przedstawia wzór pięknej szerokiej wszywki reticella naśladującej robotą szydełkową z plecionką medaljonową starożytną włoską koronkę, podług wzorów znajdujących się w muzeum drezdeńskiem. Potrzeba najpierw narysować deseń na kalce płóciennej i podług niego przyfastrygować tasiemeczkę gładką i medaljonową. Trójkąty szydełkowe robią się każdy oddzielnie podług r. 24 zaczynając od 19 o: pow. i robiąc tam i napowrót rzędy o: śc.



N. 15. Krój i wymiar koszyczka ryc. 17.



N. 16—17. Przykrycie na stolik do szycia i kosz do robót. Patrz r. 14—15, tudzież ryc. 26—28 w N-rze 20.



N. 18. Sukienka dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 19.

N. 29—30. Wałek pod głowę, zdobny koronkowym haftem weneckim. Patrz ryc. 11—13 w N-rze 20.

Wałek pokryty suknem i pluszem, 50 cent. długi a 42 obwodu mający, ozdobiony jest bardzo efektownym haftem weneckim, którego wykonanie i całkowite wykończenie podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 30. Haft wykonywa się na bardzo grubem płótnie gazowem; po narysowaniu deseniu, wyszywa się tylko środki kwiatów i listki filozelą, różnorodnemi ściegami, wzory do tego daliśmy na ryc. 11—13 w N. 20.



N. 19. Sukienka dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 19.



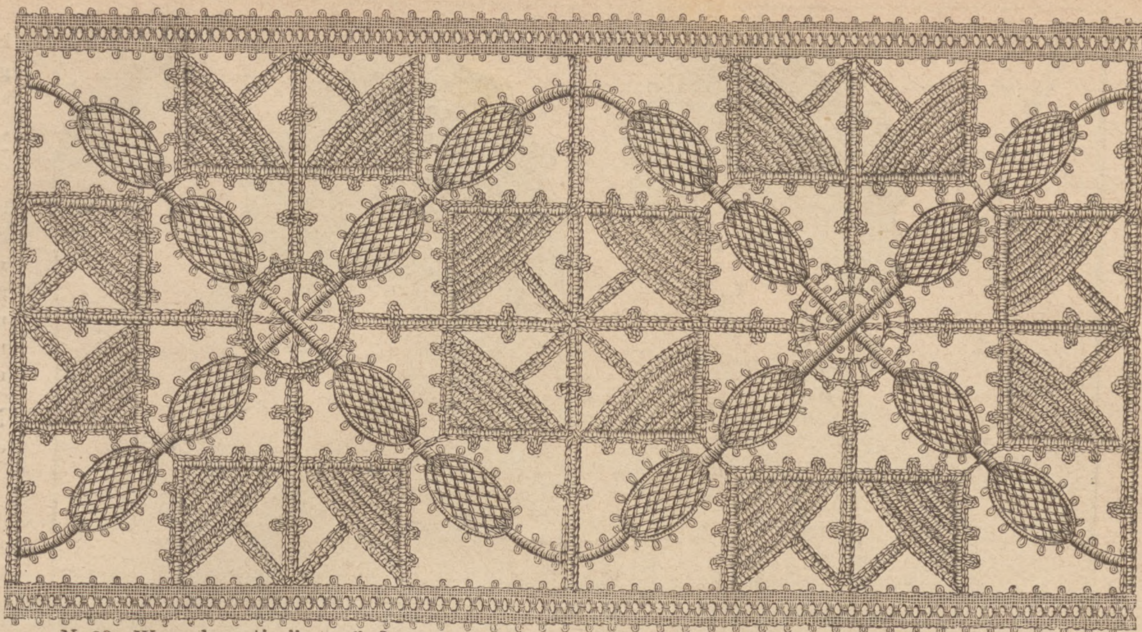
N. 20. Szlak ściegiem sznureczkowym. Opis daliśmy już w N. 17 r. 21—22.



N. 21. Ząbki.

Następnie płótno gazowe przyfastrygowywa się na materyale, stanowiącym pokrycie wałka i wszystkie kontury kwiatów i liści haftuje ściegiem płaskim; po skończeniu haftu płótno gazowe zostające na tle po za deseniem, wycina się jak najstaranniej, a haft płaski obwodzi cieniutkim sznureczkiem lub nitką kręconą złotą, przytwierdzoną niewidocznemi ściegami. Sute kwasty dopełniają przyozdobienia wałka.

N. 31—37. Kapelusze letnie.



N. 23. Wszywka reticella, naśladowana szydełkową robotą podług starożytnego wzoru. Patrz ryc. 24—25.



N. 22. Ząbki.

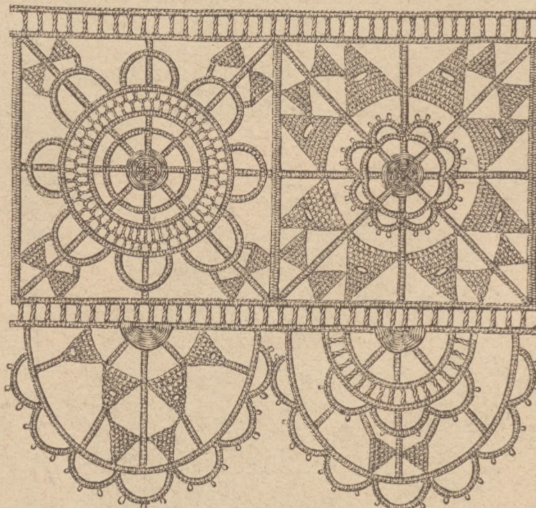
mitu, z wierzchu zaś wpuszczone są dwoma rzędami podwójne pukielki z atłasowej wstążki 2 c. szerokiej. Przybranie w około główki, stanowi z jednej strony skos aksamitny, przepięty klamerką, z drugiej rozety z pukielków i gałązka róży.

N. 32. Kapelusz okrągły.

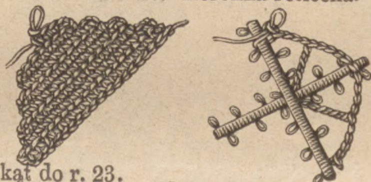
Fason z bronzowej florenckiej słomki, ma rondko oszyte słomkową torsadką 4 cent. szeroką. Przybranie zwierzchnie składa się z aksamitki 6 c. szerokiej, z koronki 11 c. szerokiej i z róż żółtych, przypiętych między koronką i wstążką. Z tyłu długa kokarda z końcami.



N. 27. Uczesanie z warkoczem związanym wstążką.



N. 26. Koronka reticella.



N. 24. Trójkąt do r. 23.

N. 25. Zaczęcie pajączka do r. 23.



N. 28. Uczesanie z luźnym węzłem przepiętym opaską.

N. 31. Kapelusz z główką wklęsłą w około. Patrz ryc. 6 w N. 20.

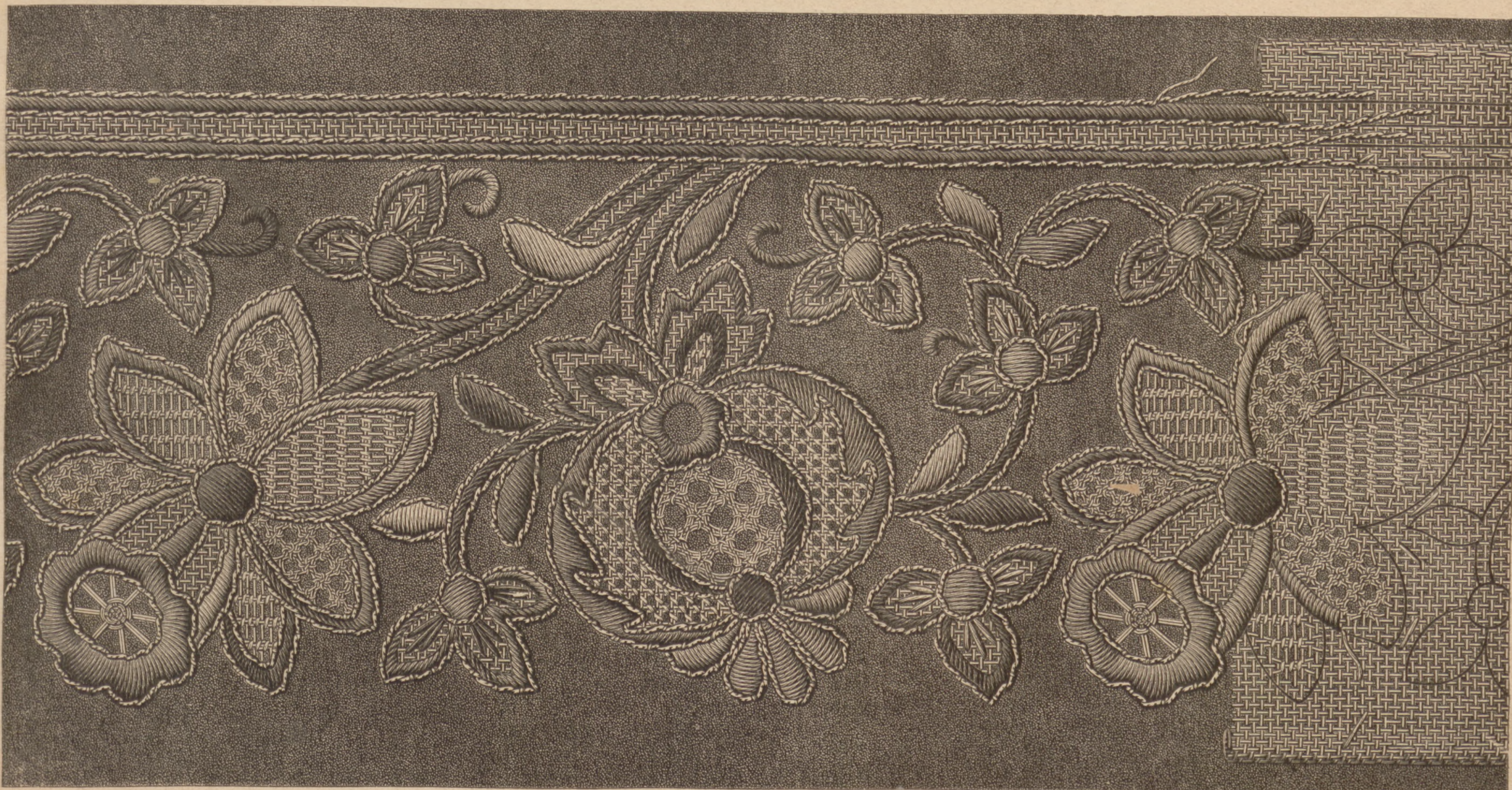
Na ryc. 6 w N. 20 widzimy jak w fasoniku z rondkiem spuszczonem przez wklęśnięcie główki, boki odznaczają się oddzielnie. Podszycie rondka dane z kolorowego aksa-



N. 29. Wałek pod głowę. Patrz ryc. 30.

N. 33. Kapotka przybrana aksamitką i piórami.

Kapotka z jasno popielatej słomki, ma rondko podszyte aksamitem bordeaux; przybranie i końce do wiązania dane z takiejże aksamitki 3 cent. szerokiej; z boku strusie pióra popielate do cieniu.



N. 30. Szlak. Haft koronkowy wenecki, do wałka ryc. 29. Patrz ryc. 11—13 w N-rze 20.

N. 34. Kapotka z dyademowem rondkiem.

Pleciona z cienkiej ciemno oliwkowej słomki, ma z przodu rondko odwinięte dyademowo, 10 c. wysokie, w środku przypięte kokardą i bukietem róż. Na wierzchu główki dana druga kokarda, a z lewego boku bukiet róż przypięty podług r. 5. Końce do wiązania z wstążki ottoman 8 cent. szerokiej.

N. 35. Kapotka koronkowa.

Koronka hiszpańska 7 cent. szeroka, lekko namarszczona, przykrywa główkę i rondko 10 cent. szerokie, odstające nad czołem, podgarnirowane koronką i podpięte różami. Z wierzchu główki rezety z aksamitki na atłasowym spodzie.

N. 36. Kapotka zdobna kwiatami.

Pleciona jest ze słomki złotawo bronzowego koloru i ma szerokie rondko wygięte nad czołem w ząb wysoko odstający, podgarnirowane riuszą i aksamitką. Z wierzchu rondka przytwierdzona girlanda z róż, maków i liści; końce do wiązania 12 cent. szerokie.

N. 37 tudzież ryc. 11. Kapelusz okrągły z rondem w dwóch kolorach.

Kapelusz z żółtawej angielskie słomki, ma rondko z wierzchu żółtawe, od spodu oliwkowo zielone. Z jednego boku dana szeroka bufa, marszczona ze skosu aksamitu, 18 cent. szerokiego, z drugiego sute pukle z wstążki ottoman 2 cent. szerokiej i bukiet ponsowych kwiatów. Końce do wiązania są z wstążki biado żółtej i oliwkowej.



N. 31. Kapelusz z główką wklęsłą, patrz r. 6 w N. 20. N. 32. Kapelusz okrągły.



N. 34. Kapelusz z dyademowem rondkiem.



N. 35. Kapotka koronkowa.



N. 33. Kapelusz przybrany aksamitką i piórami.



N. 36. Kapotka zdobna kwiatami.



N. 37. Kapelusz z rondem w dwóch kolorach